

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 20 (1134) 1 SIERPNIA 1982 R. CENA 12 ZŁ

W NUMERZE:

„Gdybyś i ty poznało...” ●
Przemienienie ● Błaganie o
nauczanie sprawiedliwości ●
Z życia naszego Kościoła —
Bielsko Biala ● W rocznicę
Powstania Warszawskiego ●
Porady



Krzysztof Kamil Baczyński
(1921 — 1944)

ELEGIA O...

(chłopcu polskim)

Oddzielili cię, syneczku,
od snów co jak motyl drżą,
haftowali ci, syneczku,
smutne oczy rudą krwią,
malowali krajobrazy
w żółte ściegi pożóg,
wyszywali wisielcami
drzew płynące morze.
Wyuczili cię syneczku,
ziemi: twej na pamięć,
gdys jej ścieżki powycinał
żelaznymi łzami.
Odchowali cię w ciemności,
odkarmili bochnem trwóg,
przemierzyles po omacku
najwstydlwsze z ludzkich dróg.
I wyszedles, jasny synku,
z czarną bronią w noc,
i poczules, jak się jeży
w dźwięku minut — zło.
Zanim padles, jeszcze ziemię
przeżegnales ręką.
Czy to była kula, synku,
czy to serce pękło?

DZIEWIĄTA NIEDZIELA PO ZESŁANIU DUCHA ŚWIĘTEGO

Czytanie z Listu św. Pawła Apostoła do Koryntian (1 Kor 10, 6—13)

Bracia: Nie pożądajmy złego jako oni żądali. I abyście się nie stali bałwochwalcami jak niektórzy z nich, jako napisane jest: Zasiadł lud, aby jeść i pić, i powstawszy zaczęli się bawić. Ani też dopuszczajmy się rozpusty, niektórzy z nich rozpusty się dopuścili. I legło ich jednego dnia dwadzieścia trzy tysiące. I abyście nie kusili Chrystusa, jak niektórzy z nich kusili i poginęli od węzów. Ani nie szemrajcie, jak niektórzy z nich szemrali i zginęli z rąk niszczyciela.

A to wszystko działo się im jako figura rzeczy przyszłych i napisane jest ku przestrodze dla nas, którzy żyjemy w tych czasach ostatecznych.

Przeło kto mniema, że stoi, niech baczny, aby nie upadł. Pokusa nie jęła się was inna, jeno ludzka, a wierny jest Bóg, który nie dopuści kusić was ponad wasze siły, ale razem z pokusą da też i wyjście, abyście ją przetrzymać mogli.

Psalm responsoryjny (16, 1—9)

Refren: *Pan mocą moją, nic mnie nie zachwieje*

1. Zachowaj mnie, Panie, przed złem wszelkim; u Ciebie Panie, szukam schronienia.
2. Mówię do Pana: Tyś jest Panem moim; nie ma dla mnie dobra bez Ciebie

Refren: *Pan mocą moją, nic mnie nie zachwieje*

3. Stawiam sobie zawsze Pana przed oczyma; Pan, mocą moją, nic mnie nie zachwieje.
4. Dlatego cieszy się me serce, a dusza się raduje; a ciało moje będzie spoczywać bezpiecznie.

Refren: *Pan mocą moją, nic mnie nie zachwieje*

5. Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu.
6. Jak było na początku, teraz i zawsze; i na wieki wieków. Amen.

Refren: *Pan mocą moją, nic mnie nie zachwieje*

Ewangelia według św. Łukasza (19, 41—47)

Onego czasu: Gdy Jezus przybliżył się do Jerozolimy i ujrzał miasto, zapłakał nad nim, mówiąc: Gdybyś i ty poznało i własnie w ten dzień twój to, co jest ku pokojowi twemu, a teraz zakryte jest przed oczyma twymi. Albowiem przyjdą na ciebie dni i otoczą cię nieprzyjaciele twoi wałem, i oblegną cię i ścisną cię zewsząd, i na ziemię powalą ciebie i dzieci twe, które w tobie są, i nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu i dlatego, żeś nie poznało czasu nawiedzenia twego.

I wszedłszy do świątyni, począł wyrzucać sprzedającym w niej i kupującym, mówiąc: Napisane jest, że dom mój jest domem modlitwy, a wyście go uczynili jaskinią zbójców. I nauczał codziennie w świątyni.

„Gdybyś i ty poznało...”

Za pośrednictwem dzisiejszej liturgii ostrzega nas Kościół przed lekceważeniem i marnowaniem łaski Bożej. Oba bowiem czytania mszalne mówią o niewierności i odrzuceniu narodu wybranego, który jako pierwszy wezwany został do Królestwa Bożego. Tak więc przez słowa lekcji (1 Kor 10,6—12) przypomina Apostoł, że Izraelici cudownie wyprowadzeni z Egiptu buntowali się przeciw Bogu i za karę przez czterdzieści lat tułali się po pustyni. Ewangelia (Łk 19, 41—47) natomiast zwraca uwagę, iż Jerozolima, która odrzuciła Mesjasza legła za karę w grzechach.

Kto uważnie słuchał dzisiejszej ewangelii, nie mógł nie wyczuć w słowach Jezusa ogromnej troski i niewymownego smutku, wobec przeświadczenia o bliskości tego, co nieuchronnie zbliżało się na „święte miasto”. Toteż — jak relacjonuje Ewangelista — „gdy się przybliżył (do Jerozolimy), ujrawszy miasto, zapłakał nad nim” (Łk 19, 41). Trudno się temu dziwić. Było ono przecież stolicą Jego ojczyzny. Tutaj Zbawiciel tak często przebywał. Dla tego miasta i jego mieszkańców czynił tak wiele, a tymczasem praca Jego poszła na marne. Ów płacz wśród radosnych okrzyków wznoszonych przez pielgrzymów zdążających do Jerozolimy, na widok wspaniałej panoramy miasta, był czymś zupełnie nieoczekiwanym. Uczniowie zadawali sobie zapewne pytania, co mogło być tego powodem. Ale płaczący Chrystus sam wyjaśnił przyczynę swego smutku. Zwracając się bowiem do leżącego u Jego stóp miasta, powiedział: „Gdybyś i ty poznało w tym to dniu, co służy ku pokojowi. Lecz teraz zakryte to jest przed oczyma twymi” (Łk 19, 42). Smucił się Jezus, oglądając swym boskim wzrokiem straszną przyszłość zatwardziałego w niewierze

miasta. Dał temu wyraz mówiąc: „Przyjdą na ciebie dni, ze twoi nieprzyjaciele usypią wał wokół ciebie i otoczą, i ścisną cię zewsząd. I zrównają cię z ziemią i dzieci twoje na murach twoich wytepią, i nie pozostawią z ciebie kamienia na kamieniu, dlatego żeś nie poznało czasu nawiedzenia swego” (Łk 19,43—44). Słowa te świadczą, że już wkrótce miasto to zostanie zburzone, świątynia obrócona w zgłiszczą, a mieszkańcy pohańbieni. Straszny koniec Jerozolimy musiał napętnić serce Zbawiciela bólem.

Warto tutaj przypomnieć, że Syn Boży nie pierwszy już raz upominał to miasto. Dowodem tego są Jego słowa: „Jerozale, Jerozale, które zabijasz proroków i kamienujesz tych, którzy do ciebie byli posłani, ileż to razy chciałem zgromadzić dzieci twoje, jak kokosz zgromadza pisklęta swoje, a nie chciałeś! Oto wam dom wasz pusty zostanie” (Mt 23,37—38). Podobnymi napomnieniami były liczne cuda, jakie Chrystus uczynił w tym mieście oraz wyrzuty, których nie szczędził jego mieszkańcom. Jednak wola mieszkańców „świętego miasta” była nadal oporna, ich serca zimne i twarde. Musiała więc spotkać ich zguba, gdyż sami jej chcieli.

I rzeczywiście. Jeszcze za życia pokolenia współczesnego Chrystusowi przyszła na Jerozolimę zapowiedziana kara. Bowiem, gdy w roku 70 po narodzeniu Chrystusa wojska Tytusa obległy, a następnie zniszczyły stolicę państwa izraelskiego, ponad milion Żydów zginęło z rąk żołnierzy rzymskich lub padło ofiarą grasującej zarazy, zaś 97.000 dostało się do niewoli. Wspaniała świątynia jerozolimska — uważana za jeden z cudów ówczesnego świata — padła pastwą płomieni, a krew mordowanych dosłownie lała się strumieniami po jej monumentalnych schodach. Historyk żydowski, Józef Flawiusz — który był świadkiem tych wszystkich okropności — napisał: „Zadne miasto od początku świata nie wycierpiało tyle, co Jerozolima”.

* * *

Mało kto zwrócił zapewne uwagę na drobny na pozór szczegół, że 1 sierpnia 1914 r. czytana była ta sama co dzisiaj ewangelia. „Gdybyście poznały narody...” — wołał Chrystus przez usta swoich kapłanów w dniu, w którym rodziła się I wojna światowa. Ale głos Boży przeszedł bez echa. Zagluszony go grzechot karabinów maszynowych, huk rozrywających się pocisków i przeraźliwy świst pocisków artyleryjskich, siejących pożogę, zniszczenie i śmierć. Nie wszyscy jednak chcieli zapamiętać tę naukę. Bowiem niespełna 21 lat po zakończeniu I wojny — z pogwałceniem nauki Ewangelii oraz podstawowych zasad prawa międzynarodowego — rozpętana została jeszcze straszniejsza II wojna światowa. Jej celem było zapewnienie „korzyści” politycznych i gospodarczych jednemu tylko narodowi. W wojnie tej straciło życie około 55 milionów ludzi, około 35 milionów zostało rannych lub stało się kalekami. Straty materialne w samej tylko Europie oceniane były na 260 miliardów dolarów. Łzy i cierpienia ludzkie nie były brane pod uwagę. A szkoda.

* * *

Czy więc przynajmniej obecnie narody i państwa starają się poznać „co służy pokojowi?” Wydaje się jednak, że i tym razem słowa Syna Bożego nie dotarły do świadomości wszystkich odpowiedzialnych za utrzymanie pokoju na świecie. Wiele mówi się i pisze obecnie o rozbrojeniu, ale jednocześnie ludzie — ubierający się w szaty obrońców sprawiedliwości, wolności i pokoju — przygotowują — najstraszniejszą ze strasznych — broń neutronową.

Alé i pojedynczy człowiek przeżywa tragedię Jerozolimy, jeśli nie chce poznać „co służy ku pokojowi”. Tak było dawniej, tak jest obecnie, tak będzie zapewne do skończenia wieków. Dlatego i dziś płacze Syn Boży nad tragedią współczesnego człowieka, mówiąc: „Gdybyś poznał i ty człowiecze...” Nigdy bowiem tragedia duszy ludzkiej nie występowała tak jaskrawo, jak za naszych czasów. Nigdy szamotanie się człowieka z samym sobą i z innymi ludźmi nie było tak bolesne i beznadziejne, jak w naszej epoce. Obserwujemy bowiem wspaniałe, cześnie nerwową gonitwę za użyciem, nieustający pęd za taką czy inną namiastką szczęścia a równocześnie coraz bardziej grzeszną ludźmi w grzechu, któremu odebrano wszystko, co stawia go we właściwym świetle. Oto treść życia człowieka naszych czasów na wielkiej i małej arenie świata. Zdajemy sobie jednak sprawę, że takie postępowanie na pewno nie służy człowiekowi „ku pokojowi”.

* * *

Prawdziwy bowiem pokój pochodzi od Boga. Zapewnił nas o tym Zbawiciel, mówiąc: „Pokój zostawiam wam, mój pokój daję wam; nie jak świat daje, Ja wam daję” (J 14,27a). Można go jednak osiągnąć jedynie przez wierność nauce Chrystusa i unikanie zła. Zwraca na to uwagę św. Piotr, gdy pisze: „Kto chce być zadowolony z życia i oglądać dni dobre, ten niech powstrzyma język swój od złego, a wargi swoje od mowy zdradliwej. Niech się odwróci od złego, a czyni dobrze, niech szuka pokoju i dąży do niego” (1 P 3,10—11). Nie co innego wreszcie jak pokój będzie zasadniczym elementem szczęścia w wieczności. Bo „Królestwo Boże to nie pokarm i napój, lecz sprawiedliwość i pokój, i radość w Duchu Świętym” (Rz 14,17).

Obyśmy i my poznali, oby poznał cały świat „w tym to dniu, co służy ku pokojowi” (Łk 19,42a) naszym duszom i rodzinom, wszystkim narodom i całemu światu. Zapewnić go może tylko Chrystus. Bo — według nauki Apostoła — „On jest pokojem naszym, On sprawił, że z dwojga jedność powstała” (Ef 2,14a).

Uczyńmy wszystko na co nas stać, by pokój Boży zapanował w naszych duszach, w naszych domach i parafiach, w Ojczyźnie naszej. To będzie naszym wkładem w budowę pokoju na całym świecie. Równocześnie módlmy się o ten wielki dar, powtarzając słowa: „Udziel Panie pokoju za dni naszych i na zawsze”.

Ks JAN KUCZEK

„Po sześciu dniach Jezus bierze z sobą Piotra, Jakuba i brata jego, Jana i prowadzi ich na górę wysoką osobno. Tam przemienił się wobec nich: Jego twarz zajaśniała jak słońce, codziennie zaś stało się białe jak światło. A oto ukazali im się Mojżesz i Eliasz, którzy rozmawiali z Nim. Wtedy Piotr rzekł do Jezusa: Panie, dobrze jest, że tu jesteśmy; jeśli chcesz, rozbiję tu trzy namioty: dla Ciebie jeden, dla Mojżesza jeden i dla Eliaza jeden. Gdy on jeszcze mówił, oto obłok świetlany osłonił ich, z obłoku odezwał się głos: To jest mój Syn najmilszy, w którym mam upodobanie, Jego słuchajcie!” (Mt 17, 1—5).

W kilka dni po pierwszym chrześcijańskim wyznaniu wiary przez Piotra w pobliżu Cezarei Filipowej, Jezus chciał dać poznać trzem swym uczniom, kim jest Syn Człowieczy i jaką potęgą jest wiara. Zaprowadził więc „na wysoką górę, stojącą na uboczu” Piotra, Jakuba i Jana i „przemienił się wobec nich: Jego twarz zajaśniała jak słońce...” Ujrzeni też Mojżesza i Eliasza, którzy rozmawiali z Jezusem. Owo doświadczenie mistyczne, bezpośredni kontakt z Jezusem Chrystusem, którego „odzienie stało się białe jak światło” oraz obecność przedstawicieli Prawa i Proroków, wywarło szczególne wrażenie na uczniach. „Piotr rzekł do Jezusa: Panie dobrze, że tu jesteśmy”. Wprawdzie wszystko to trwało bardzo krótko, ale dla uczniów było to przeżycie nieprzemijające, prównywane jedynie ze szczęściem i błogością duszy „spoczywającej w Panu”. Po chwili jednak, rozglądając się, zobaczyli już tylko Jezusa w Jego zwykłej postaci. W najbliższym czasie przyjdzie zdrada, trwoga, śmierć krzyżowa, „godzina ciemności”. Ale uczniowie otrzymali już odpowiedź, którą potwierdzi Zmartwychwstanie: **wiara w Jezusa Chrystusa jest mocą przemieniającą.**

Ten fragment Ewangelii ukazuje nie tylko eschatologiczną wizję zmartwychwstania i Królestwa Niebieskiego, ale także skutki wiary w naszym życiu codziennym. Wiara jest wyglądaniem Boga, który nadchodzi, ręką zmartwychwstania. Ale jest także, już dziś, mocą przemieniającą, przeobraża nasze życie, jak to ukazywali Ojcowie wschodni. Owo przeobrażenie obejmuje jednocześnie inteligencję i zmysły; objawiając się człowiekowi całością, a nie tylko tej czy innej z jego władz, wiara nie jest namacalna, materialna, ale jest jak najbardziej rzeczywista.

Stan oschłości, „nocy mistycznej”, o której mówią teolodzy Zachodu, nie mają nic wspólnego z oziębłością. Serafim z Sarowa, mistyk słowiański, mówi nam o tym: „Gdy czujemy w sercu zimno pochodzące od szatana — bo szatan jest zimny — wzywajmy Pana, a przyjdzie rozgrzać nasze serce. Przed żarem Jego oblicza pierzchnie chłód nieprzyjaciela”.

Jezus największy nacisk kładzie w Ewangeliach na przemieniającą potęgę wiary. Człowiek wierzący doświadcza tej potęgi we wszystkich dziedzinach swego życia na ziemi. Przeobraża ono działanie, cierpienie i stosunki międzyludzkie.

Wiara przede wszystkim przeobraża nasze działanie.

Chrześcijaństwo ofiarowuje nam — według definicji Karla Rahnera — „absolutne przed nami”: Boga. Owo rozpoznanie absolutu jako „Boga, który nas przyzywa”, uwalnia chrześcijanina, o ile jest wierny Ewangelii, od wszelkiego bałwochwalstwa, a więc i od niebezpieczeństwa ucisku: historia, społeczeństwo, państwo stają się przez to jedynie środkami. Przede wszystkim samo istnienie tej przyszłości absolutnej, dzięki Jezusowi rozpoznanej, przeobraża działalność wierzącego: istnienie czegoś „poza światem” nadaje światu sens. Ateizm rodzi się, gdy człowiek „nie rozpoznaje” tej przyszłości absolutnej i utożsamia ją z jedną ze swych przyszłości konkretnych i względnych. Zmartwychwstanie Jezusa i nadzieja „zmrtychwstania ciała” uczą chrześcijanina, że w pewien sposób, po owym tajemniczym i bolesnym przeobrażeniu, jakim jest śmierć, życie zatriumfuje.

Człowiek prometejski — czyli dziecko pewnego typu „nowoczesnej” ewolucji — chce zawiądnąć naturę; gwałci ją i przebija się przez nią. Człowiek „panteistyczny” — spadkobierca starych kultur tradycyjnych — rozpływa się w niej i gubi się w niej. Chrześ-



PRZEMIENIENIE

cjanin — przeciwnie — patrzy na naturę jak na swoje własne ciało, które ma doprowadzić do Boga, za przykładem Chrystusa.

Wiara przeobraża wszystko, co rani moje doświadczenie wewnętrzne i przeciwstawia się mu: nienawiść, cierpienie, porażka, nędza, śmierć.

Ksiązę Siddharta — który później stanie się Budda, Sakya Munim — wychował się podobno w czarodziejskim pałacu, pełnym piękna, dobroci, tryskających źródeł. W szesnastym roku życia ożeniono go z najpiękniejszą księżniczką w kraju. Starannie ukrywano przed nim wszelką brzydotę życia. Wyszedł jednak parę razy z pałacu potajemnie. Za pierwszym razem zobaczył starca. Za drugim — chorego. Za trzecim razem zobaczył trupa niesionego na stos. Jak to się nazywa? — zapytał. To się nazywa śmierć — odpowiedziano mu. Za czwartym razem, wysłuchawszy mnicha, powiedział sobie: zwdono mnie, oszukiwano, świat mojego pałacu to kłamstwo, „smutkiem jest wszelkie życie”. I wstrząśnięty, opuścił pałac i zaczął z dala od życia rozmyślać. Morał z tego, że zła nie można ignorować. Ci z rodziców, którzy w podobny sposób wychowują swoje dzieci, tając przed nimi wszystko, co w życiu odrażające — ryzykują, że pewnego dnia usłyszą podobny wyrzut: zwdono mnie. Dorosli powinni oczywiście oszczędzać dzieciom osobistego doświadczenia zła, ale powinni dzieci na nie przygotować.

W obliczu zła chrześcijanin wierny swojej wierze nie będzie zamykał oczu. Nie będzie nawet próbował „redukować” czy „wyjaśnić”, zamilknąć. Sam Jezus milczał podczas swojej męki i płakał nad śmiercią Łazarza. Lecz to nasze milczenie nie jest beznadziej-

nością. My wierzymy, że mimo przeciwnych pozorów zawsze triumfuje sprawiedliwość, prawda i miłość. Wiara, która „podnosi górę”, a wśród nich także i naszą „górę”, słyszy głos Tego, który nauczał w kazaniu na górze: „Błogosławieni, którzy prześladowanie cierpią dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie”. Czyż to nie najgłębsze przemienienie?

Miłość, jakiej nauczał Jezus Chrystus nie jest „angeliczna”, powinna przemienić każdego człowieka. Miłość z kart Nowego Testamentu, popycha wierzącego do walki, prowadzi go „w serce mas”, „każe nie uchylać się od sporu i konfrontacji, gdy się tego domaga prawda. Nie o to chodzi, żeby być miłym dla kolegów, chodzi o szacunek — który jest drugim imieniem miłości — szacunek, który nie chce sobie nic przywłaszczać; jest on zachwytem nad istnieniem innych, rozciąga się nawet na naszych nieprzyjaciół, trwa nawet w sercu walki. Jest przeciwieństwem pogardy.

MAREK AMBROŻY

WIERZĘ

Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego,

Ojca naszego,

Przez którego jest Duch rodzony,

Twórczością i wolą udarowany,

Abym się objawił światłością.

Wierzę w Chrystusa Pana,

Słowo świata całego;

Który wszelką sprawę czyni,

Zywoł ku Ojcu prowadzi.

A urodził się z dziewicy,

Przez natchnienie Ducha Świętego

Za śmieniem się ludzkiej natury...

I rozpięty był na krzyżu;

Trzy dni przetrwał w łonie ziemi,

A po trzech dniach zmartwychwstał,

I niesion jest z ciałem w obłoki,

Skąd przyjdzie rządzić Królestwo Boże.

Wierzę w święty Kościół powszechny

I w Najwyższego Ducha pasterstwo.

Wierzę w świętych Duchów Związek,

Widzialnych i niewidzialnych.

Wierzę w świata przemienienie,

W ostateczne zmartwychwstanie

Ciała wszelkiego na ziemi.

W Królestwo Boże widzialne

Przychodzące z przemienieniem

Natury naszej cielesnej,

Z przelaniem grzechu wszelkiego —

Wierzę. I w żywot wieczny — Amen.

Juliusz Słowacki



Wiara pierwszych uczniów, „Szymona, zwanego Piotrem, i brata jego Andrzeja” przemieniła ich życie. „I rzekł do nich (Jezus): Pójdźcie za Mną, a uczynię was rybakami ludzi” (Mt 4, 19)

Błaganie o nauczanie sprawiedliwości

Psalm 5 tak w przekładzie greckim (Septuaginta — LXX) oraz łacińskim (Wulgata — Wlg) jak i w tekście hebrajskim nosi jedną numerację. Tak liczy się psalmy od 1 do 9 i od 148 do 150. Psalm nasz doskonale nadaje się do zilustrowania zasadniczej właściwości poezji religijnej Starego Testamentu. Jest nią metryka, czyli rytm wiersza, który sprawia, że dany utwór trzeba zaliczyć do poezji. Rytm ten wyraża się podwójnie: rytmem myśli i rytmem akcentowanych wyrazów w poszczególnym członie wiersza. Rytm myśli — to tzw. *paralelizm*, przy pomocy którego następnym członowi wiersza wyraża równoległe, podobnie myśl członu poprzedniego. W psalmie naszym mamy do czynienia z tzw. *paralelizmem syntetycznym*, który powtarza, rozwija i uzupełnia myśl członu poprzedniego. Zadanie to poeta religijny — Psalmista wykonuje również przy pomocy rytmiki (metrum), która polega na odpowiednim ułożeniu akcentów w poszczególnych członach — stykach wiersza. Zjawisko to występuje tylko w tekście hebrajskim. Psalm 5 cechuje się dobrze zachowanym w tekście oryginalnym rytmem akcentowym w postaci 3 + 2 akcenty w styku. Szkoda, że właściwości tej nie można pokazać w przekładzie.

Budowa lub konstrukcja rzeczowa naszego psalmu jest przejrzysta: Psalmista skarży się wczesnym rankiem w modlitwie (w. 2—4); potem dochodzi do wniosku, że do Boga nie mają dostępu grzesznicy, ale dostęp ten nie został odcięty skarżącemu się (w. 5—8); prośba o sprawiedliwość (w. 9); oskarżenie i osądzenie wrogów (w. 10—11); radość i błogosławieństwo dla sprawiedliwych (w. 12—13). — Pod względem rodzaju literackiego psalm nasz należy do indywidualnych pieśni lamentacyjnych, w której Psalmista prosi Boga o pomoc prawną dla niesłusznie oskarżonego. Analiza treści utworu wskazuje, że jego autorem nie jest ani król, ani kapłan, lecz jakaś uzdolniona jednostka z ludu Bożego. Psalm powstał na terenie świątyni jerozolimskiej, ale trudno ustalić, czy to była świątynia Salomona, czy też odbudowana już po niewoli babilońskiej.

„Usłysz, Jahwe, moje słowa, zwróć na mój lęk uwagę” (w. 2). Piewca rozpoczyna swój psalm w sposób właściwy pieśniom lamentacyjnym, skarżącym się, na co wskazuje również dodatek w wierszu 1: „na flety”, tzn. pieśń śpiewana przy akompaniamencie fletu. Instrumentem tym posługiwali się m. in. pielgrzymi udający się do świętego miasta (por. Iz 30,29). Psalmista prosi, aby Bóg zwrócił uwagę na jego głośne wołanie i udrękę. „Nateż słuch na głos mojej modlitwy, mój Królu i Boże, albowiem Ciebie błagam” (w. 3). W modlitwie swej Psalmista nazywa Jahwe: „mój Królu i Boże!” W wierszu tym zawarta została głęboka myśl teologiczna. Na podstawie tego i poprzedniego wiersza wnioskujemy, że między człowiekiem a Bogiem znajduje się wielki dystans, wielka odległość, któ-



„O Jahwe, prowadź mnie w swej sprawiedliwości na przekór moim wrogom: wyrównaj przede mną Twoją drogę” (Ps 5,9)

ra trzeba pokonać głośną, przenikliwą modlitwą skargi. A jednak Psalmista zwie Jahwe „swym Królem i Bogiem”, bo On jest rzeczywiście Bogiem, Panem stworzenia, a tron Jego znajduje się w jerozolimskim sanktuarium. „O Jahwe słyszysz mój głos od rana, od rana przedstawiam Ci prośby i czekam” (w. 4). Skarżący się w modlitwie Psalmista zanosí do Boga swe prośby od wczesnego ranka. Modli się nie tylko słowami, lecz również składa ofiarę Bogu rękami kapłana i „czeka”. Czekania mianowicie na wyrocznię Jahwe udzielaną w pouczeniu kapłańskim. a właściwie na orzeczenie sądowe w sprawie spornej. Psalmista jest pewny, że Bóg jego sprawę rozsądzi sprawiedliwie.

„Bo Ty nie jesteś Bogiem, któremu miła nieprawość” (w. 5). W tym i w następnych wierszach (5—8) Psalmista jest pewny wysłuchania swej modlitwy, ponieważ Bóg nie znajduje upodobania w nieprawości, ani nie przyjmuje złego człowieka w gościnę w swym sanktuarium. A w takim razie: *Nieprawi nie ostoją się przed Tobą. Nienawidzisz wszystkich złoczyńców, zsyłasz zgubę na wszystkich, co mówią kłamliwie. Mężem krwawym i podstępym brzydzisz się Jahwe*” (w. 6—7). Autor wymienił tutaj ludzi występnych, którzy nie mają prawa wstępu do sanktuarium i których czeka zguba za ich złe postępowanie. „Ja zaś, dzięki obfitej Twej łasce, wejść do Twojego domu, upadnę przed świętym przybytkiem Twoim przejęty Twoją bojaźnią” (w. 8). Psalmista wyraźnie przeciwstawia się złoczyńcom i kłamcą, którzy uczynili sobie ze zła drogę swego postępowania. Wierzy on i ufa Jahwe, dlatego towarzyszy mu łaskawość Boga. Sprawiedliwy wejdzie do przybytku świętego, złoży Bogu najgłębszy pokłon, bo jest przejęty Jego bojaźnią.

„O Jahwe, prowadź mnie w swej sprawiedliwości na przekór moim wrogom: wyrównaj przede mną Twoją drogę” (w. 9). Teraz Psalmista przedstawia Bogu swą właściwą prośbę, w której błaga o pomoc prawną. „Sprawiedliwość” znaczy tu „okazanie zbawienia” (G. von Rad). przyjdzie z pomocą skarżącemu się przez wskazanie na zbawczą moc Boga (K. Koch). Pomoc ta ma wykazać, że Bóg bierze w obronę prawną uciśnionych przez wrogów. Sprawia to Bóg na przekór wrogom Psalmisty. „Droga Jahwe” zaś oznacza, że Bóg uczy konkretnie proszącego, jak ma on postępować. „Droga Jahwe” — to wyrocznia, pouczenie Boże dane proszącemu. Psalmista prosi zatem Boga, aby przyznał się On do swego sługi i umożliwił mu egzystencję przez okazaną mu pomoc prawną (H. J. Kraus).

„Bo w ustach ich nie ma szczerości, ich serce knuje zasadzki, ich gardło jest grobem otwartym a językiem pochlebienstwa” (w. 10). Po przedstawieniu Bogu swej głównej prośby Psalmista przechodzi do oskarżenia swych wrogów. Oskarża ich mianowicie o brak szczerości, knucie zasadzek, kłamstwo, oszczerstwo i pochlebstwo. Przewrotność myśli i języka ludzkiego Psalmista nazywa „otwartym grobem”, gotującym zgubę sprawiedliwemu. Trudno wyobrazić sobie, żeby takie postępowanie nie zostało ukarane. „Ukarz ich, Boże, niech staną się ofiarą własnych knowań; wygnaj ich za wiele zbrodni, buntują się bowiem przew Tobie” (w. 11). Psalmista zdecydowanie żąda od Boga kary dla swych wrogów, czyli dla ludzi przewrotnych i dopuszczających się przestępstw. Dziwnie to brzmi w uszach chrześcijanina, ale musimy pamiętać, że przemawia tu człowiek Starego Testamentu. Izraelita owych czasów wierzył mocno, że Bóg działa już teraz, konkretnie i zdecydowanie. Bóg nie tylko poeusza, lecz również zdecydowanie wkracza w życie człowieka, przychodzi ze swą pomocą. Oto wiara Psalmisty i tych, którzy psalmy nucili.

„A wszyscy, którzy się do Ciebie uciekają, niech się cieszą, niech się weselą na zawsze. Oslaniaj ich, niech cieszą się Tobą ci, którzy imię Twoje miłują. Bo Ty, Jahwe, będziesz błogosławił sprawiedliwemu: otoczysz go łaską jak tarczą” (w. 12—13). Cieszyć się i żyć szczęśliwie mogą ci, którzy uciekają się do Boga i Jemu szczerym sercem ufają. Taka jest droga sprawiedliwego, którego Bóg otacza swą łaską jak tarczą we wszystkich przeciwnościach życia.

Z analizy naszego psalmu wynika, że ustawicznie ściera się ze sobą zło i dobro, fałsz i prawda. Uważne czytanie z wiarą tego psalmu winno nas nauczyć, że Boże działanie i wymierzanie sprawiedliwości dokonuje się również teraz, w naszej teraźniejszości. Na terenie społeczności kościelnej również toczy się walka ze złem, z ludźmi przewrotnymi i złymi. „Już samo to jest godne potępienia, że w ogóle zdarzają się wśród was sądowe sprawy. Czemuż nie znosicie raczej niesprawiedliwości? Czemuż nie ponosicie raczej szkody?” (1 Kor 6,7). Wyrazem nowotestamentowej wiary w zwycięstwo sprawiedliwości jest zdanie: „Mamy więc, bracia, że wejdziemy do Miejsca Świętego przez krew Jezusa”. (Hbr 10, 19). Miłość Boża, domagająca się również naszej wzajemności, zwycięża niesprawiedliwość. O to zwycięstwo modli się chrześcijanin. nucac nasz psalm.

Ks. KAZIMIERZ PIKULSKI

Z uroczystości Bożego Ciała w Bielsku Białej



Jeden z ołtarzy podczas procesji

Ks. Henryk Buszka — proboszcz parafii

dokończenie na s. 6

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (659)

W opracowaniu bp M. Rodego

M

Mivart St.G. — (ur. 1827, zm. 1900) — to głośny w swoim czasie zoolog angielski, zrazu anglikanin, a od 1844 roku rzymskokatolik; był nie tylko profesorem biologii w University College w Kensington, ale również doktorem filozofii i doktorem medycyny. Jest autorem wielu publikacji, a wśród nich kilku dzieł, spośród których tu wymienić trzeba następujące: *Genesis of species* (1871), czyli *Pochodzenie gatunków* (rodzaju ludzkiego); *Man and apes* (1873), czyli *Człowiek i małpy*; *Nature and Thought* (1883), czyli *Przyroda i myślenie*; *The Origin of human reason* (1889), czyli *Pochodzenie (źródło, początek) rozumu ludzkiego*; *Defence of Freedom and Liberty of Conscience*, czyli *Obrona niezależności i wolności sumienia*.

Mivart był zwolennikiem i głosicielem teorii rozwoju, nazywanej wtedy też ewolucjonizmem, transformizmem, albo i darwinizmem. Już jako nawrócony na rzymskokatolicyzm uczonec, usiłując znaleźć pomost pomiędzy szerzącym się ewolucjonizmem materialistyczno-ateistycznym a chrześcijańskim, katolickim, poglądem na pochodzenie człowieka od Boga (→ kreacjonizm), ale i jako wywodzącego się z ciągle rozwijającego się i doskonalącego się łańcucha istot żywych góbatego świata organicznego, a więc wywodzącego się też bezpośrednio z bogatej i bardzo zróżnicowanej przyrody, wypowiedział pogląd, iż człowiek rzeczywiście pochodzi i od Boga, i jest jednocześnie najdoskonalszym ogniwem organicznego ewoluującego świata przyrody. Wysunął tedy następującą koncepcję, czy teorię. W książce swojej (w.w.) pt. *The Origin of Human Reason* (1889) Mivart, przyjmując oczywiście istnienie Boga i stworzenie przez Niego wszechświata, jak również konserwację wszechświata i rządzenie nim przez Boga, dowodzi, że w świecie organicznym istniała i istnieje ewolucja i że człowiek pod względem swego ciała może pochodzić od zwierzęcia, w

które w pewnym momencie Bóg tchnął duszę nieśmiertelną. Dzięki temu specjalnemu aktowi odpowiednio ukształtowane zwierzę (para zwierząt) stała się stworzeniem wyższego rzędu, mianowicie stało się mężczyzną i kobietą, stało się człowiekiem, istotą rozumną. Teoria ta zyskała sobie zwolenników, wśród których znalazł się m.in. również ks. Józef Zahn, doktor teologii i profesor uniwersytetu w Würzburgu. Poglądy Mivarta, Zahna i in. zostały wprawdzie potępione przez Kościół Rzymskokatolicki jako niezgodne z poglądem katolickim, wydaje się jednak, że tak długo, jak długo nie ma bezpośrednich dowodów na pochodzenie człowieka bezpośrednio, źródłowe, empirycznie udokumentowane, można ją zaliczyć do hipotez na równi z wielu innymi. Teoria Mivarta, którą można nazwać semiewolucjonistyczną, godzi się wszelako, to trzeba podkreślić, z zasadniczym postulatem teistycznego pojmowania dziejów powstania i rozwoju bytu, świata, ludzi, odnosząc ostatecznie wszystko do Boga jako pierwszej przyczyny bytu, przy czym stworzenie duszy jako sybstancji niematerialnej i odrębnej sybstancji, sybstancji istotowo różniącej człowieka od całego, bogatego, świata organicznego, przypisuje się bezpośrednio Bogu.

Miurydyzm — (tur.; arab.), albo murydyzm (muryd = uczeń) — to nazwa grupy islamskich działaczy i ich poglądów, którym to działaczom przewodził jako pierwszy muryd (= nauczyciel) Dagestanu, Mohammed. Głosili oni m.in. całkowitą równość ludzi, konieczność prowadzenia bezwzględnej wojny mahometan, tzw. świętej wojny z niewiernymi, oraz to, że żaden muzułmanin nie może być poddanym jakimkolwiek innowiercy. Pierwsze idee tego ruchu zrodziły się na gruncie ogólnego mahometanizmu w Bucharze ok. 1823 roku i stamtąd w krótkim czasie rozeszły się wśród ludności przede wszystkim Kaukaz (→ Mahomet; → mahometanizm; → muzułmanin).

wierni licznie uczestniczyli w uroczystej procesji.



Ukazał się drugi tom książki
ks. bp. prof. Meksymiliana Rodego
pt. **Filozofia dziejów rozwoju myśli społecznej**
tom II — *Starożytność*, stron 515, cena 80 zł.

Nadto są jeszcze do nabycia tegoż Autora następujące książki:

Filozofia dziejów rozwoju myśli społecznej

Tom I — *Prastarożytność*, stron 551, cena 80 zł.

Ideologia społeczna Nowego Testamentu:
Tom I — *Idee polityczne i gospodarcze*,
stron 372, cena 50 zł.

Tom II — *Idee społeczne*, stron 492, cena 50 zł.

Tom III — *Instytucje społeczne*, stron 587, cena 60 zł.

Książki te nabyć można tylko w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, 00—246 Warszawa, ul. Miodowa 21 — bezpośrednio albo za zaliczeniem pocztowym.

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (660)

Mizgalski Gerard — (ur. 1907, zm. 1977) — to ks. rzymskokat. infułat. wybitny muzykolog kościelny. znany i ceniony jako teoretyk muzyki kościelnej, w tym oczywiście również i śpiewu kościelnego, zarówno w kraju, jak i za granicą. Jest też współautorem i autorem szeregu publikacji z zakresu muzyki jako ważnej części teologii praktycznej, mianowicie liturgiczno-muzycznej. Tu trzeba wymienić spośród nich następujące: uzupełnione wydanie *Kancjonalu Kościelnego*, którego autorem był → ks. dr Wacław Gieburowski (I wyd. w 1952 r.); nowe wydanie *Funebrale* (1955), czyli *Księga pogrzebowa; Kyriele* wraz ze śpiewami wielkotygodniowymi. (1957); *Encyklopedię Muzyki Kościelnej* (1958); był też zaproszony do współautorstwa kościelnego międzynarodowego śpiewnika pt. *Canticum mundi*, czyli *Śpiewnika świata*.

Mizrach — (hebr.) — to hebrajska nazwa makaty lub tablicy, zawieszanej na wschodniej ścianie bóżnicy lub domu żydowskiego, wskazującej kierunek położenia Jerozolimy; tak też nazywa się reprezentacyjne miejsce w bóżnicy.

Młodzianowski Tomasz — (ur. 1622, zm. 1686) — to polski jezuita. ks., teolog, filozof, prawnik i ceniony kaznodzieja. Jest autorem wielu dzieł teologicznych. spośród których tu trzeba wymienić następujące pozycje: *Praelectiones theologicae de iure et iustitia* (1677), czyli *Prelekcje teologiczne o prawie i sprawiedliwości; Praelectiones theologicae de virtutibus et Sacramento* (1670), czyli *Prelekcje o cnotach i Sakramencie; Praelectiones theologicae de Sacramentis*, czyli *Prelekcje teologiczne o Sakramentach; Praelectiones philosophicae...*, *Metaphisicae et Logices* (1671), czyli *Prelekcje filozoficzne...*, *metafizyczne i logiczne* (ukazały się te dzieła teolog. i filozoficzne w wydaniu zbiorowym pt. *Integer cursus theologicus et philosophicus* (1682); 5 tomów). Nadto wydał

szereg kazań, rozmyślań, rekolekcyjnych nauk i drobniejszych tytułów ascetycznych.

Młynarczyk Julian — (ur. 1882, zm. 1950) — ks. rzymskokat. profesor seminarium duchownego w Sandomierzu teologii moralnej i prawa kanonicznego. Jest autorem m.in. skryptów pt. *Prawo kanoniczne Kościoła Powszechnego* (1914), oraz *Prawo kanoniczne*.

Mnich — (gr. monachós = człowiek żyjący samotnie) — to nazwa członka zakonu tzw. ścisłego w Kościele Rzymskokatolickim-Zachodnim, głównie benedyktynskiego, a równie kamedulskiego i cysterskiego. w Kościele zaś Wschodnim — głównie bazylińskiego; mnichem czy mnichami potocznie nazywa się też w ogóle zakonnik czy zakonników (→ zakony).

Mochinger Jan — (ur. 1593, zm. 1652) — ks. rzymskokat., kaznodzieja i pisarz teologiczny działający głównie w Poznaniu i Gdańsku. Napisał m.in. *Discursus philosophicus de nominibus Dei hebraicis biblicis* (1623), czyli *Filozoficzne omówienie biblijnych hebrajskich imion Boga*.

Modalizm — to nazwa poglądu teologicznego, niezgodna z poglądem katolickim, według którego → Bóg to nie jest — Trójca św., a więc trzy — Osoby: Bóg Ojciec, Bóg Syn i Bóg Duch św., stanowiący jednak mimo tej trójstości osób jednego i niepodzielnego Boga, a osoby te traktuje umownie, nie dosłownie, symbolicznie — jako trzy sposoby (łac. modus = sposób; stąd nazwa) działania i manifestowania, czyli ujawniania się Boga w swoich dziełach na zewnątrz; przyjmuje więc modalizm w konsekwencji istnienie faktycznie nie Trójcy św., więc trójjednego Boga, a Boga jednego, Boga jednoosobowego.



Grupa żołnierzy Batalionu „Gustaw” po powrocie ze Starego Miasta. Zdjęcie wykonane we wrześniu 1944 r. przez Jerzego Swiderskiego.



W rocznicę wybuchu czołgu-miny byli żołnierze Batalionu „Gustaw” złożyli wieńce i wiązankę kwiatów na pamiątkowej płycie, przy ul. Podwale.

W tragiczną rocznicę wybuchu czołgu—miny na Starym Mieście



W głębi ul. Kilińskiego, na lewo — ul. Podwale. Na pierwszym planie szczątki czołgu-miny, który wybuchł 13 sierpnia 1944 r. około godz. 18

*Gdy broń dymiącą z dłoni wyjmę
i grzbiet jak pręt rozgrzany stygnie,
niech mi nie kładą gwiazd na skronie
i pomnik niech nie staje przy mnie.*

*Bo przecież trzeba znów pokochać
Palce mam — każdy czarną lufą,
co zabić umie. — Teraz nimi
grać trzeba, i to grać do słuchu.*

*Bo przecież trzeba znów miłować.
Oczy — granaty pełne śmierci,
a tu by trzeba w ludzi spojrzeć
i tak, by Boga dojrzeć w piersi.*

*Bo przecież trzeba czas przemienić,
a tutaj ciemna we mnie siła,
i trzeba blaskiem kazać ziemi,
by z sercem razem jak krew bila*

(...)

*Ale jeżeli spalil młodość,
jak palą kraje w wielkim hymnie,
to nie zapomni czas narodu,
a Bóg jak płomień stanie przy mnie.*

Krzysztof Kamil Baczyński
(1921 — 1944): Gdy broń.... (fragment)



Pamiątkowe zdjęcie byłych żołnierzy Batalionu „Gustaw” pod kolumną Zygmunta na pl. Zamkowym, wykonane 13 sierpnia 1981 r.

Do widzenia, n

*„Któż wam wyśpiewa pieśń, kiedy pierś ściśnięta.
Któż wam wystawi pomników monument.
Ziemia czarna została, ziemia prochem święta
I historii okrutny strzępiasty dokument.”*

Stanisław Lech Zelle

Lubiła siedzieć przy stole, odsunięta nieco od kręgu światła lampy naftowej. Cisza w domu o wieczornej porze, po skończonym dniu ciężkiego życia okupacyjnego, pozwalała uporządkować myśli i cieszyć się obecnością syna pochylonego nad książką. „Bedzie z Jerzego wielki matematyk” — mawiali często jego koledzy. Nie umiała sobie tego wyobrazić, bo nie rozumiała pasji syna do nauk ścisłych, a już matematyka była dla niej absolutną magią. Ona sama lubiła poezję, czasem nawet w wielkiej tajemnicy pisała wiersze, rzewne i liryczne.

Usiłowała wyobrazić sobie syna dorosłego, uczonego matematyka. Przyglądała mu się z niepokojem i troską. Martwiła ją jego życiowa niezadarność, nadmierna wrażliwość, słabe zdrowie i nieśmiały, niepewny sposób bycia. Ma teraz szesnaście lat, ale wygląda na znacznie mniej. Drobną, wątłą, jak blada roślina. Nawet okulary nie dodawały mu powagi, a niebieskie, wielkie oczy za grubymi szklami miały wyraz trochę zaleknionego, smutnego dziecka. Jakże bardzo go kocha. Szczególnie teraz, gdy zostali tylko we dwoje, w małym mieszkanku na peryferiach stolicy. W 39 roku, w pierwszych dniach wojny, mąż zgłosił się do swojej wojskowej formacji i wyruszył na front. Po roku przychodzili od niego kartki z offlagu, ale już od dawna czeka na próżno na jakikolwiek znak życia. Nie straciła nadziei, że mąż żyje. Kilka jej przyjaciółek było w tej samej sytuacji, więc pocieszały się wzajemnie, dodając sobie otuchy i siły do mężnego trwania w okrutnym życiu okupacyjnym. Jakos dała sobie radę, choć tak bardzo przerażało ją to wszystko co działo się dookoła. Śmierć i zniszczenie, o które ocierało się życie każdego dnia, obawa o syna, brak wieści od męża nie załamywały jej, choć kładły się ciężkim kamieniem na strwożonym sercu.

Troski uciszały się trochę, gdy w ciszy wieczoru siedzieli razem przy stole w okęgu ciepłego światła lampy. Patrzyła, jak długimi, szczupłymi palcami przewracał kartki zeszytu i niecierpliwie podrzucał głową, gdy niesforny kosmyk włosów zsuwał mu się na szkła okularów. Zauważyła, że od czasu do czasu odwraca wzrok od książek i wpatruje się w zamysleniu w ciemny kąt pokoju. Trapiły go widać jakieś myśli nie pozwalające skupić uwagi. Gdy zauważył, że mu się przygląda, uśmiechał się tym swoim nieśmiałym, ładnym uśmiechem i wracał do lektury. Nie pytała o nic. Milczała w trwożnym przeczuciu nadciągającej burzy. Wczoraj byli tu jego przyjaciele. Jak zwykle częstowała ich herbatą i chlebem z marmoladą. Oni także byli jacyś inni. Zwykle hałaśliwi i żywiołowi, siedzieli cicho, szepcząc coś między sobą, nerwowi i podnieceni. Od dawna podejrzewała, że biorą udział w ruchu oporu. Bała się, ale milczała, wiedziała, że tak być musi. Kiedy wychodził rano z domu bez śniadania, rzucając z udaną obojętnością krótkie „Do widzenia, mamo.” — zdolna była tylko pokiwać w milczeniu głową. Wiedziała, — idzie teraz gdzieś tam, gdzie czai się śmierć. Strach paraliżował ją tak bardzo, że siedziała nieruchomo przy oknie, całymi godzinami, aż do chwili, gdy pojawił się w furcie ogrodu okalającego dom. Zrywała się wtedy z fotela z gorącą falą radości w sercu. Jest, wrócił cały i zdrowy. Modliła się dziękując Bogu za litość jaką okazał jeszcze tym razem, jej matczyne sercu.

Myślała o tym wszystkim patrząc na syna z tkliwą czułością, z niepo-



Patrol powstańczy na ulicach Warszawy

Młodzi powstańcy z grupy „Rafałków”



W walce o elektrownię na Powiślu



kojem. Czula narastające nerwowe oczekiwanie, jakby w ten ostatni, gorący dzień lipca zbierała się groźna burza. A on, jej syn siedział nad książką cichy i spokojny.

Następnego dnia rano nie mogła się go dobudzić. Spał twardym snem, z podłożoną pod głowę dłonią, zwinięty w kłębek. Długie rzęsy rzuciły na błądy policzek drżący cień. Długo gładziła go po twarzy, zanim spojrzła na nią przytomnym wzrokiem, jakby wzdragając się wyrwać z bezpiecznego snu. Uśmiechnął się do niej i biorąc jej dłoń w swoje chude palce wyszeptał cicho: „moja dobra, moja kochana, moja dzielna mama”. Zdawało jej się przez chwilę, że jego oczy zaszkliły się łzami, ale już po chwili zerwał się i rzuciwszy okiem na zegarek pobiegł do kuchni. Słyszała jak myjąc się parska głośno i rozchlapuje wodę z miednicy. Przewrócił wiadro z wodą i ku jej zdumieniu sierzycie zaklął. Było w tym coś niezwykłego. Śniadanie jadł śpiesznie z gwałtownym apetytem, jakby chciał najeść się na długo. Ręce mu drżały, rozlewał herbatę zerkając na nią przeprasząc. Później kręcił się nerwowo po mieszkaniu szukając czegoś i przewracając rzeczy w szufladzie komody. Koło południa gotowy do wyjścia odwrócił się od drzwi i powiedział: „nie czekaj na mnie z obiadem, nie martw się o mnie. Do widzenia mam”. — Jeszcze przez ułamek sekundy widziała jego mizerną twarz i gest, jakby chciał podbiec do niej, ale powtórzył tylko raz jeszcze: „Do widzenia, mam...” i już biegł przez ogród. Jeszcze tylko trzaśnięcie furtki i cisza w domu i tylko łomot serca tłukącego się w jej piersi, jak przerażony ptak.

Usiadła jak zwykle przy oknie, gotowa czekać bez ruchu na powrót syna. Nie pamięta już jak długo tak trwała ogłuszona złymi przecuciami. Nie pamięta, kiedy dotarło do jej świadomości, że właśnie w ten dzień, pierwszy dzień sierpnia zaczęło się powstanie. Początkowo przez pierwsze dni bała się wyjść z domu w obawie, że syn wróci, a jej nie zastanie. Jeszcze wierzyła, że przyjdzie, może jutro, może za chwilę. Przecież powiedział tylko: „do widzenia, mam...” Później zapragnęła go zobaczyć, odnaleźć. Choćby tylko przez chwile być przy nim. Biegła przez ulice Warszawy objętej powstańczą walką. Ktoś na nią krzyczał, że nie ma przejścia, ktoś wpchał ją do bram. Wyrwała się i biegła dalej potykając się o gruzy walących się domów. Czepiała się wzrokiem drobnych postaci chłopięcych w za dużych hełmach spadających na oczy i granatami za pasem. Może ten... Nie, to nie on. Pytała napotkanych powstańców, może widzieli... taki chudy, przygarbiony chłopiec... w okularach...

Przy którymś z punktów opatrunkowych pomagała nosić rannych. Z rozpaczą i nadzieją zaglądała w twarze tym dzieciom-powstańcom z twarzami niedziedzinie surowymi.

Zakurzona pyłem rumowisk, oczadziła dymem pożarów, z błyszczącymi gorączkowo oczami powtarzała w kółko: „powiedział tylko do widzenia, tylko do widzenia...”

Przypadkowo napotkana przyjaciółka zaopiekowała się nią. Razem teraz przeżywały okrutne dni powstania. Nosili wodę, prali bandażę, dzwigały rannych, gotowały strawę. Aż do końca, gdy dopalały się ostatnie dni powstania. Razem popędzono je do Pruszkowa.

Teraz jest starą, samotną kobietą. Mieszka w tym samym domku na peryferiach stolicy. O śmierci męża powiadomił ją Czerwony Krzyż. O synku nie wie nic. Mówi o nim z dumą i spokojem, że zginął w powstaniu, ale kiedy o zmierzchu siedzi przy oknie zapatrzona w ogrodową furtkę — kto wie — może jeszcze czeka? Może widzi go, tak jak wtedy odchodził i słyszy, jak z dziecinnym uśmiechem mówi: „Do widzenia, mam. Do widzenia...”

JADWIGA KOPROWSKA



Jeden z nich

Rejon placu Napoleona (obecnie pl. Powstańców Warszawy).





Tradycyjna rodzina chińska charakteryzowała się kilkoma cechami znanymi, odróżniającymi ją od systemów rodzinnych krajów Dalekiego Wschodu. Znany badacz tej problematyki, Tatsumi Makino, wymienia następujące dziedziny, w których zaznacza się specyfika dawnej rodziny chińskiej: kult przodków, system dziedziczenia, autorytet głowy rodziny, nierówna pozycja mężczyzny i kobiety oraz system własności rodzinnej.

Kult przodków miał w tym systemie bardzo duże znaczenie. Najważniejszym obowiązkiem każdego następującego pokolenia było odprawianie modłów rytualnych na cześć przodków, przy czym zgodnie z przepisami rytualnymi, jedynie mężczyzna (najczęściej najstarszy z rodziny) mógł przewodniczyć modłom.

Dziedziczenie obejmowało w równym stopniu wszystkich synów, córki nie miały prawa do udziału we własności, aczkolwiek niejednokrotnie otrzymywały część majątku na posag czy wyprawę. Prawo nie zabraniało dzielenia własności jeszcze za życia rodziców, ale decyzja w sprawie podziału należała wyłącznie do nich.

Po śmierci rodziców zazwyczaj sami synowie dokonywali podziału rodzinnej własności i wówczas dopiero opuszczali dom rodzinny, idąc „na swoje”. W sytuacji, gdy nie dzielono majątku, rozmiary rodziny powiększały się nadmiernie. Tworzyła się wówczas tak zwana rodzina, której funkcjonowanie było tym bardziej skomplikowane, im więcej obejmowało pokoleń i większą liczbę członków gromadziło pod wspólnym dachem.

Autorytet głowy rodziny wyznaczała tradycja, płeć i wiek. Zawsze osoba ze starszego pokolenia cieszyła się wyższą pozycją. W rodzinie, gdzie liczni krewni żyli razem, następstwo we władzy rodzinnej i domowej przysługiwało synowi tego ojca, który faktycznie sprawował władzę jako głowa rodziny. Jego władza była szczególna wówczas, gdy rozciągała się na synów (z jego linii) mieszkających z żonami pod jednym wspólnym dachem. Nie miał on jednak prawa decydowania o życiu podwładnych. Mieszkający razem krewni z linii bocznej — nawet mający udział w majątku rodziny — nie podlegali jego władzy w tym stopniu, co krewni w linii prostej. Ci pierwsi mogli nawet pozywać przed sąd głowę rodziny za niesprawiedliwe traktowanie, drudzy tego prawa nie mieli. Styl życia wielkiej rodziny był różnicowany w zależności od stopnia życia jej członków: tam, gdzie wspólne życie było rozwinięte, wszyscy spożywali te same posiłki o jednej porze, ubierali się w podobny sposób, razem przystępowali do pracy. Tam, gdzie duch wspólnoty był słabszy poszczególne małe rodziny prowadziły własne życie.

Pozycje mężczyzny i kobiety były wyraźnie zróżnicowane. Psychika kobiet chińskich była tak ukształtowana, że one same uważały, iż

są przeznaczone przede wszystkim do dźwigania ciężarów życia domowego i posłuszeństwa mężczyźnie. Ich mentalność wyrażała się w przysłowiu głoszącym, że „enotą kobiety jest nie być inteligentną”. Zachowanie mężczyzny w pełni utwierdzało je w tym przeświadczeniu, kształtując typ pokornej, służebnej i odpornej na trudy życia córki, żony i matki. Sfera życia seksualnego była obwarowana rygorystycznymi zasadami. Przedmażeńskie stosunki seksualne były surowo zabronione; czystość dziewczyny stanowiła jeden z najbardziej istotnych warunków jej dobrego zamążpojęcia i szacunku społeczeństwa. Młodzi w zasadzie nie znali się przed ślubem, a ich kojarzeniem zajmowali się rodzice bądź krewni. Teoretycznie uznawano monogamię, jednak w praktyce nie wyzna-

czano ścisłej granicy między prawowitą żoną a konkubiną — szczególnie w tych rejonach, gdzie poligamia była zwyczajowo zaakceptowana. Tam natomiast, gdzie bezwzględnie przestrzegano monogamii, obyczajowo seksualna była nadzwyczaj surowa. Wyjątkowo, dobrze sprawujący się mężczyzna, mógł mieć konkubinę bez wyraźnego sprzeciwu członków rodziny, rodu czy zbiorowości lokalnej. W takiej sytuacji konkubina podlegała władzy prawowitej żony, która też miała obowiązek troszczenia się o gospodarstwo domowe, kierowania służbą domową.

Własność rodzinna była wspólna nawet w odniesieniu do krewnych z linii bocznej, żyjących w ramach wielkiej rodziny. Ową wspólnotę własności rozumiano dwójako: właścicielami są wszyscy dorośli mężczyźni w rodzinie, to znaczy ojciec, synowie i bracia albo też właścicielem wspólnego majątku domowego jest ojciec, który ponosi odpowiedzialność za jego integralność i wzrost. Do wspólnej własności należała ziemia, budynki mieszkalne i gospodarcze oraz uzyskiwany w ciągu roku dochód z pracy wszystkich członków rodziny. Chiński dom rodzinny składał się z kilku zespołonych budynków z grubymi ścianami dzielącymi poszczególne małe apartamenty rodzinne. Gdy więc następował podział majątku rodzinnego (domu), to i tak wszyscy pozostawali pod jednym dachem, skazani na współzależność i współdziałanie w sprawach gospodarczych. Dom rodzinny pozostawał nadal zespołem kilku niezależnych ognisk rodzinnych. Pełne wyłączenie się z niego miało miejsce jedynie wówczas, gdy dorosły syn emigrował w poszukiwaniu pracy i z dała od rodziny pochodzenia zakładał własną rodzinę prokreacji. Wówczas otrzymywał swój udział majątkowy w formie pieniężnej i rzekał się pretensji do nieruchomości majątku rodzinnego.

Podsumowując w dużym skrócie przedstawione wyżej informacje dotyczące struktury rodziny starochińskiej, należy dla pełności i jasności obrazu zaakcentować, że owa wielka rodzina (tsung-tsi) miała swe odwieczne miejsce w kulturze narodu chińskiego jako grupa szczególnego rodzaju i doniosłości społecznej. Poza wspólnym bogactwem i głęboko zakorzenionymi zasadami współdziałania, dysponowała też własną „szkołą” socjalizacji rodziny młodego pokolenia oraz własnym miejscem kultu religijnego. Wspólny majątek był używany na opłaty związane z kultem przodków, wydatki szkolne, ceremonie weselne i pogrzebowe, pomoc ubogim, sporządzanie ksiąg rodowych itp. Dla utrzymania owego majątku rodzinnego w należytym stanie, wszyscy członkowie rodziny musieli ciężko pracować i ponosić niemałe ofiary. Za to mieli pełny udział w dumie rodziny, jej chwale i „potędze” — nie tylko ekonomicznej, ale i moralnej. Stąd też rodzina (wielka rodzina) mogła sprawować nad nimi wszechogarniającą władzę od kołębki aż do grobu.

Tradycyjny system wielkiej rodziny chińskiej przetrwał kilka tysięcy lat i uległ niewielkim zmianom w ogólnym procesie przemian społeczno-gospodarczych w XIX wieku.

Dopiero po II wojnie światowej, starodawny model rodziny uległ całkowitemu przeobrażeniu. Dawne wielkie rodziny przekształcono w tak zwane komuny ludowe, funkcjonujące na całkowicie zmienionych zasadach prawnych i obyczajowo-moralnych. Badacze zgodnie oświadczają, że tradycyjne formy życia rodzinnego w zasadzie zupełnie uległy zanikowi w środowiskach miejsko-przemysłowych, a więc robotniczych, a tym bardziej inteligentnych.

Największa zmiana dotyczy pozycji kobiety w społeczeństwie i rodzinie, i to bez względu na typ rodziny i charakter środowiska społecznego. Proces emancypacji kobiety zaczyna się obecnie od jej najmłodszych lat, gdy dziewczęta na równi z chłopcami uczęszczają do podstawowych, średnich i wyższych szkół

Małżeństwo i rodzina w kulturze chińskiej

każdego niemal kierunku specjalizacji zawodowej. Kobiety przeszły w dużej mierze do pracy zawodowej poza rodziną. Konstytucja i prawo rodzinne uznają równość praw mężczyzny i kobiet i zakazują mieszania się komukolwiek w sprawy wolnego doboru partnerów. Prawo małżeńskie określa zasady dziedziczenia majątku przez oboje małżonków i dzieci, co jest rewolucyjną zmianą wobec dawnych stosunków, określających prawno-organizacyjne i moralno-religijne oblicze rodziny. Wielkie posiadłości rodzinne — obecnie uspołecznione — nie stanowią już ekonomicznej podstawy życia wielkiej rodziny, a prawo rodzinne wyraźnie ogranicza zakres władzy głowy rodziny, a raczej obojga rodziców. Są oni teraz odpowiedzialni przed zbiorowością lokalną za wywiązywanie się z obowiązków rodzicielskich i małżeńskich i mogą być nawet publicznie sądzeni za popełnione w tym zakresie przewinienia. Dopuszczono prawną możliwość rozwodu, o którą mogą się ubiegać obie strony, ojca zaś w zupełności pozbawiono jego dawnej władzy kapłańskiej i religijnej w rodzinie.

Kobieta, która dawniej była tylko „dobierana sobie” przez mężczyznę i czuła się obcą w jego rodzinie, teraz jest „poślubiana” i staje się na równi z nim pełnoprawnym partnerem w małżeństwie (monogamicznym) i członkiem w rodzinie. Dawne ceremonie związane z jej afiliacją do rodziny męża, dziś zastępuje prawno-państwowy akt ślubu, co nie znaczy, że w wielu środowiskach nadal nie przykładają się wagi do pielęgnowania wielu tradycji towarzyszących zaślubinom. Dawny nacisk na to, aby żona weszła możliwie szybko i najpełniej w tradycyjną atmosferę rodziny swego męża — i to bez względu na to, czy jest ona dla niej wystarczająco zrozumiała i przyjemna bądź zupełnie obca i odpychająca — zostaje wypierany troską państwa i instytucji wychowawczych o kształtowanie u wszystkich młodych chłopców i dziewcząt „nowego ducha chińskiej kultury, rozwijanej w nowym komunistycznym społeczeństwie”.

Dziś małżeństwo nie oznacza już tylko dobrania, przyjęcia nowego członka do rodziny męża, ale właśnie wzięcia sobie przez niego kobiety za żonę. Z tej też przyczyny nie obowiązują dawne konfucjańskie określenie go jako „ustanowienie związku między dwoma osobami różnych rodzin, którego przedmiotem jest z jednej strony służby przodkom w świątyni i uwiecznianie ich pamięć, z drugiej natomiast — służby przyszłym pokoleniom”. Małżeństwo jest dziś związkiem między dwoma osobami płci odmiennej, postanawiającymi żyć razem dla ich własnego dobra, dobra ich dzieci, a przede wszystkim dobra chińskiego narodu. Nie wchodzi tu więc w grę ów — dawniej prawny — moment związania dwóch rodzin,

dokończenie na str. 11



Dnia 29 października 1974 r. w Akademii Rolniczej w Lublinie, w oprawie starego ceremoniału akademickiego odbyła się uroczystość promocji i wręczenia dyplomu doktora honoris causa profesorowi Czesławowi Marianowi Bieżance z Brazylii. Dla wszystkich obecnych była to chwila podniosła i wzruszająca. Młoda, lecz chlubiąca się już pięknym dorobkiem, uczelnia obdarzyła tą godnością uczonego o niezwykłych zasługach i Polaka wielkiego serca.

Promowany doktor wyraził to najpiękniej: „(...) Jestem głęboko wzruszony z powodu zaszczytu, jakiego dzisiaj doznaję w kraju rodzinnym, otrzymując od Akademii Rolniczej w Lublinie najwyższą godność, jaką nauka polska dysponuje, a mianowicie tytuł doktora honoris causa. (...) dziś, p. 45 latach mej pracy poza granicami ojczystego kraju, cieszę się niewymownie, że mój wkład w poznanie świata zwierzęcego Ameryki Południowej został pozytywnie oceniony nie tylko przez naukę innych narodów, lecz również przez władze Polski Ludowej i naukę polską”. Nie ma chyba liczącego się w świecie entomologa, któremu obce byłoby nazwisko profesora Bieżanki. Dla wielu naszych rodaków, tych osiadłych i tych urodzonych w Brazylii, stanowi ono powód do dumy.

Czesław Marian Bieżanko urodził się 22 września 1895 roku w Kielcach. Jego ojciec, Roman Eugeniusz Bieżanko, był uczestnikiem powstania styczniowego, matka wywodziła się ze starej arińskiej rodziny Stancaro. Przyszły uczoney kształcił się w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie na wydziale rolniczym. Następnie studiował na wydziałach filozoficznych (przyroda) Uniwersytetu Warszawskiego i Jagiellońskiego oraz na Uniwersytecie Poznańskim (chemia). Tam też w roku 1923 uzyskał dyplom nauk rolniczych i dyplom inżyniera rolnika.

W parze z zamiłowaniem badacza-przyrodnika ujawnia Czesław Bieżanko talent pedagogiczny i publicystyczny. Jeszcze będąc studentem wykładał chemię i nauki przyrodnicze w prywatnych gimnazjach warszawskich. Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Poznańskim uzyskał prawo wykładania chemii i przyrodznawstwa we wszystkich szkołach średnich. Pracę pedagogiczną łączył z działalnością popularyzatora nauk przyrodniczych i publicysty. W roku 1924 Polska Akademia Umiejętności w Krakowie mianuje go członkiem Komisji Fizjograficznej. Bieżanko bierze również udział w opracowaniu hasel dziesięciotomowej encyklopedii *Ultima Thule*, która ukazywała się w Warszawie od 1927 do 1938 roku.

Z wszechstronnych zainteresowań młodego przyrodnika wylania się jedno szczególne: entomologia. Zaczyna zbierać, klasyfikować, opisywać owady okolic Ojcowa, Kielc, Warszawy. Nawiązuje korespondencję ze znakomitym entomologiem Emerikiem StranDEM. W roku 1929 Czesław Bieżanko jedzie do Włoch, Hiszpanii, a potem do Paryża, gdzie przez pewien czas prowadzi kursy dokształcające dla nauczycieli polskich we Francji. W roku 1931 wyjeżdża do Brazylii. Kraj ten stał się drugą ojczyzną Czesława Bieżanki — wielkim poligonem jego poszukiwań przyrodniczych.

Równocześnie z pracą pedagogiczną (wykłady z chemii teoretycznej na Uniwersytecie Parańskim) kontynuuje swą ogromną pasję i pracę entomologa. W latach 1931—1933 zbiera i opisuje owady, a także i rośliny w południowym Paragwaju, w Misiones (Argentyna) i w Missces (stan Rio Grande de Sul). W bibliografii prac Bieżanki figuruje kilkanaście publikacji pisanych po polsku. Zawierały one praktyczne porady dla polskich osadników w zwalczaniu nie znanych im szkodników upraw i wskazówki przy wprowadzaniu nowych roślin. To właśnie Bieżanko nauczył polskich osadników i ich sąsiadów w stanie Rio Grande de Sul upra-

Czesław Marian Bieżanko

wy soi, zachęcił również do uprawy roślin leczniczych sprowadzonych z Europy. W ciągu następnych 30 lat Bieżanko prowadził badania entomologiczne i fizjograficzne w stanach Parana, Santa Catarina, Rio Grande de Sul, a także w Argentynie i Urugwaju.

Nawiązuje współpracę z entomologiem brytyjskim W. H. Evansem z British Museum, któremu dostarcza wielu cennych i rzadkich okazów, a także ze znakomitym znawcą motyli — T. M. Forbesem, profesorem Uniwersytetu Cornell i Uniwersytetu Harvard. W ciągu trzydziestu lat współpracy udało się obu uczonym z kilkudziesięciu tysięcy gatunków owadów żyjących w krajach Ameryki Południowej, dokładnie oznaczyć około 10 tys. gatunków.

Ogromną zasługą prof. Bieżanki jest opracowanie wszystkich rodzin motyli występujących w południowych stanach Brazylii, a także Argentynie i Urugwaju. W pracach tych pomagała mu małżonka — Juana Lucia Mantovani-Bieżanko, znana i lubiana w Południowej Ameryce śpiewaczka.

Wysoko cenione prace Czesława Bieżanki o biologii szarańczy pozwoliły skuteczniej organizować akcję zwalczania groźnej w Ameryce Południowej plagi.

Owady z ogromnej kolekcji prof. Bieżanki znajdują się w wielu instytucjach naukowych świata, m. in. w Uniwersytecie Cornell w Stanach Zjednoczonych, w Muzeum Narodowym w Waszyngtonie, w Muzeum Brytyjskim, w Muzeum Narodowym Historii Naturalnej w Paryżu, w Uniwersytecie Humboldta w Berlinie, w Muzeum Historii Naturalnej w Wiedniu. Kolekcje z jego zbiorów znajdują się również w Polsce. Uczony przekazał je Instytutowi Zoologii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, Muzeum Świętokrzyskiemu w Kielcach oraz Akademii Rolniczej w Lublinie. Jest życzeniem profesora, aby cały jego dorobek naukowy, a więc prace i ogromne zbiory oraz bogata biblioteka znalazły się w kraju ojczystym i stały się własnością Polskiej Akademii Nauk.

Profesor Czesław Bieżanko jest również autorem lub współautorem 300 prac, głównie z entomologii oraz botaniki i chemii. Zaproszony przez Emerika Stranda współpracował przy wydawaniu Bibliograficznego słownika entomologicznego. Do współpracy zaprosiła go również znana Uniwersalna Encyklopedia Europejsko-Amerykańska *Espasa - Calpe* w Madrycie. W Pelotas od roku 1940 redaguje „Biuletyn Roślin Leczniczych i Ozdóbnych”, a od 1959 — „Archiwa Entomologii”.

Z rozległą działalnością badawczą łączy prof. Bieżanko pracę pedagoga i społecznika. W latach 1934—1945 był wykładowcą chemii w gimnazjum Iemos Junior w Rio Grande oraz w gimnazjum Santa Margarida w Pelotas i w Colegium Pelotense, w latach 1934—1946 był również wykładowcą chemii i botaniki na Wydziale Farmacji w Pelotas, a od 1936 roku przez osiem lat wykładał botanikę w Wyższej Szkole Rolniczej „Eliseu Macieli” w Pelotas (był tam profesorem zwyczajnym katedry entomologii).

Profesor Czesław Bieżanko jest członkiem wielu amerykańskich i europejskich towarzystw naukowych, w tym: członkiem korespondentem Urugwajskiego Towarzystwa Entomologicznego, Parańskiego Instytutu Botanicznego, członkiem korespondentem Die Senckenbergische Gesellschaft we Frankfurcie nad Menem, członkiem korespondentem Muzeum Historii Naturalnej w Wiedniu, członkiem korespondentem Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu członkiem Hiszpańsko-Portugalsko-Amerykańskiego Towarzystwa Lepidopterologicznego w Madrycie.

W roku 1970 przyjęty został na członka, a następnie wybrany wiceprzewodniczącym Południowobrazylijskiej Akademii Literatury i mianowany dyrektorem departamentu nauki tej akademii.

Uniwersytet w Montewideo nadał mu godność profesora honorowego. Entomolodzy różnych narodowości zadedykowali mu jedenaście gatunków owadów; dwa rodzaje motyli noszą jego imię — jeden zadedykowany przez Stranda, drugi przez Skalskiego. Prezydent Republiki Brazylijskiej dekretem specjalnym ogłoszonym w *Diario Oficial* w 1971 roku nadał uczonemu dożywotnią pensję specjalną za wielki wkład w rozwój badań naukowych w Brazylii. W 1973 roku Czesław Bieżanko uhonorowany został najwyższym odznaczeniem brazylijskim — *Ordemem Cruzeiro de Sul* — głównie za nowe metody zwalczania szkodników roślinnych, organizowanie szkolnictwa i wprowadzanie nowych upraw. Miasto Pelotas nadało uczonemu honorowe obywatelstwo.

Prof. Bieżanko jest postacią ogólnie znaną i szanowaną w Brazylii. Cieszy się też popularnością i uznaniem wśród Polonii brazylijskiej. Jego nazwisko często pojawia się na łamach prasy polonijnej. Wiele opracowań historii Polaków w Brazylii wymienia go na honorowych miejscach. Redacy zwracają się do niego w chwilach szczególnie ważnych: był członkiem Komitetu Obchodu 1000—lecia Polski w Brazylii, członkiem Komitetu Osadnictwa Polskiego w Paranie i członkiem Komitetu Kopernikowskiego w Brazylii.

Za szczególne zasługi i działalność patriotyczną i społeczną wśród Polonii brazylijskiej za wstawienie imienia polskiego w nauce światowej Rada Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przyznała prof. Czesławowi Bieżance w 1969 r. Krzyż Oficerski Odrodzenia Polski.

W 1973 roku gościł profesor Bieżanko w Polsce na zaproszenie Towarzystwa „Polonia” i rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego biorąc udział w spotkaniu uczonych polskiego pochodzenia. Nawiązał też profesor szczególnie serdeczne kontakty z Muzeum Świętokrzyskim w swych rodzinnych Kielcach.

ANNA LASKOWSKA

dokończenie ze str. 10

a przeto sprawa doboru partnerów, ich wzajemnego dostosowania uzyskała należne miejsce nie tylko w sferze prawnobyczajowej, ale przede wszystkim w świadomości zainteresowanych sobą młodych i ich rodziców. Dawne wymogi stawiane kandydatce na żonę — aby była zdolna rodzić dzieci, podatna na przyjęcie tradycji i reguł życiowych rodziny pochodzenia męża oraz zdolna do znoszenia trudów codziennego życia rodzinnego zostają zastąpione prawnie określonymi warunkami ważnie zawartego małżeństwa. Nie znaczy to, że w praktyce życiowej nie przyznaje się im żadnego miejsca w motywacji promażeńskich. W pełni natomiast zachowała się dawna troska o kształtowanie u dzieci — członków rodziny poczucia świadomości wspólnoty rodzinnej, poczucia „my”, a nie „ja” — stanowi ona bowiem dogodny pomost dla przejścia ze sfery życia rodzinnego do sfery życia społeczeństwa.

HERBERT WIDERA



Stanisław Wyspiański (1869–1937) autoportret

W całym dziele S. Wyspiańskiego, a szczególnie w dramatach: „Wesele”, „Bolesław Śmiały”, „Kłątwa”, „Sędziowie” oraz rapsodach: „Piast”, „Kazimierz Wielki”, „Bolesław Śmiały” znajdujemy liczne i różnorodne wizerunki polskiego chłopca. Pojawia się bądź w konwencji sielankowej, bądź jako wzór bohatera narodowego, to znów jako model człowieka pierwotnego, tkwiącego w świecie „barbarzyńskich” pojęć moralnych. Przemawiają do nas legendarny Piast i współczesny Czepiec z Bronowic, wódz powstańców chłopskich z 1846 r. — Szela, i Bartosz Głowacki spod Raclawic. Jest twórczość Wyspiańskiego swego rodzaju katalogiem młodopolskich stereotypów chłopskiego bohatera albo szerzej — katalogiem idei związanych z chłopską wsią. Za każdym bowiem z typowych wizerunków chłopca pojawiających się w dziełach autora „Wesela”, ukryta jest określona idea: albo polityczna, albo społeczna, albo — filozoficzna.

Z wielkim mistrzostwem przeniósł S. Wyspiański na deskę teatru obrósł legendą bronowickie wesele. Raz po raz na widzów i czytelników „Wesela” nacierają blaski stubarwnych strojów ludowych, głośnie dźwięki wiejskich instrumentów, śpiewy i nawoływania. I mimo jesiennej pory roku w bronowickiej izbie weselnej jaśnieje w słońcu polska wieś podkrakowska:

Ensemble. jak z feerii, z bajki.

Ach, ta chata rozśpiewana.

jakby w niej słowiki dźwięczą —
i te stroje ukapane tęczą.

„Bajecznie kolorowa” jawi się Panu Młodemu dopiero co poślubiona żona:

A ty z twojem sercem złotem
nie zgadniesz dziewczyno-żono,
jak mi serce wali młotem,
jak cię widzę z tą koroną,
z tą koroną świecidełek.
w tym rozmaitym gorsecie.
jak lalkę dobytą z pudełek
w sukiennicach, w gablotce:



Chochoły na plantach krakowskich

warkocz we wstążek spłotce,
zapaseczka, gors, spódnica.
że to moje, że to własne,
że tak światłem gorą lica

Ale nie tylko Panna Młoda błyszczy w barwnych wstążkach i w złotych warkoczach. Kolorowe sukmany, kapoty, gorsety, pawie pióra — to zewnętrzny obraz polskiej wsi w „Weselu”. Obraz ten odnajdujemy i w innych utworach Wyspiańskiego. W „Bolesławie Śmiałym” rycerze i król ukazują się naszym oczom w stylizowanych chłopskich strojach. W „Legendzie II” Guślarz z ludem przebiera zmarłego księcia Kraka w „chłopską switkę”:

by był, jak szedł podbierać rój,
by był, jak ongi szedł na siew.

„Kolorowo bajeczny” obraz wsi znika właściwie tylko w tragediach: „Kłątwa” i „Sędziowie”. W pozostałych utworach nawiązujących do problematyki ludowej pojawiają się stale.

Czy poeta akceptował ten wizerunek chłopca, czy też wprowadzał go w jakimś specjalnym celu? Po odpowiedź sięgnąć trzeba do tradycji literackiej, do utrwalonych w niej, związanych ze wsią, stereotypów wyobrażeń. W wyniku badań literackich okazało się, iż w literaturze staropolskiej ożyły bardzo dawne, antyczne jeszcze szablony oracza i żeńcy, spokojnego o swój byt, szczęśliwie żyjącego na łonie natury chłopca. Znajdujemy tu sporo pochwał „uroku życia na wsi”. W pieśniach J. Kochanowskiego czy H. Morsztyna odzywają się wyraźne pogłosy niedysyjszych, horacjańskich pochwał życia wieśniaka. „Oracz” i „żeńca” to bodaj najpopularniejsze wizerunki chłopca w literaturze polskiej. Weszły one na stałe w ramy staropolskiej konwencji sielankowej. Ciekawe też kształtowały się dalsze ich losy.

W XVII w. arkiadyjski stereotyp chłopca otrzymał wersję chrześcijańską: kanonizowany zostaje „szczęśliwy” chłop — Izidor „Oracz”. Nie znany dawniej z bliska wieśniak otrzymuje teraz pełną biografię. Życie biednego, ale „pracowitego” i dlatego „szczęśliwego” Izidora stało się wzorem osobowym chłopca szeroko rozpowszechnionego wśród szlachty a także wśród samych chłopów.

U schyłku XVIII w. jawi się nowy patron „szczęśliwych” chłopów. Tym razem przypomniany zostaje wynagrodzony królewską koroną za swą skromność stanowiącą kruszwicki kmięć — Piast. Patron narodowy pełni znowu przede wszystkim funkcję społeczną: uświęcanie stosunków na wsi feudalnej.

Na przelomie wieków XVIII i XIX pojawiają się idee solidaryzmu klasowego, idee będące formą obrony szlachty przed coraz bardziej niepokojącymi objawami fermentu na wsi, a także — pod naporem demokratycznych tendencji w myśli polskiej. W literaturze pięknej tego okresu zyskuje popularność motyw „idylli pańsko-chłopskiej”, bezkonfliktowego ułożenia stosunków społecznych na wsi. Wzorcem historycznym tej idei była popularna pod koniec XVIII w. i na początku XIX w. opowieść o opiece Kazimierza

Wielkiego nad kmieciami. Był to koronny dowód ułożenia poprawnych stosunków między panem i poddanym. Przypomniane zostały królewskie wędrówki w chłopskiej siermiędze po kraju dla poznania doli poddanych. Opowieść o Kazimierzu Wielkim — królu „chłopków”, patronowała obrazowi wsi patriarchalnej, z „dobrym” panem i „pracowitym” chłopkiem. Napór idei demokratycznych, szczególnie po rewolucji francuskiej, rósł w miarę upływu czasu. Coraz bardziej też tracił dla chłopów atrakcyjność wizerunek „chłopa oracza”. Z czasem czuł się on

Problem „ludowości” w utworach Wyspiańskiego

wyraźną przeszkodą w szerzeniu solidarystycznych hasła na wsi. Trzeba było znaleźć atrakcyjniejszy wzorzec chłopca „solidarystycznego”. I tak rozpoczęły się w naszej literaturze dzieje sławy chłopca „dziarskiego”, wesołego, szczęśliwego, bajecznie kolorowego. Nieśmiertelni „Krakowiacy i górale” W. Bogusławskiego stanowią etap wstępny żywota tego stereotypu w naszej literaturze.

W II i III dekadzie XIX w. stereotyp ten znajduje mocne wsparcie w romantycznej gloryfikacji folkloru. Ukryta za wizerunkiem chłopca „kolorowego bajecznie” idea solidaryzmu społecznego w latach pięćdziesiątych XIX w. znalazła nieoczekiwane sprzymierzeńca w demokratycznej ideologii warszawskiej cyganerii.

W połowie XIX w. w literaturze pięknej staropolski „oracz” ustępuje ostatecznie miejsca chłopcu „dziarskiemu”, kolorowemu. W ostatnich 20 latach XIX w. chłopski bohater konwencjonalno-sielankowy przeżywa wyraźny renesans w polskim malarstwie. Malarze „szkoły ludowej” wprowadzają na płótna chłopów jako nieodzowną część wiejskopolskiego krajobrazu. Powstają obrazy ukazujące życie chłopca „jego zwyczajnie, strój malowniczy: sukmanę gorset, krasą spódnice czy chustkę”. W bronowickiej siedzibie W. Tetmajera rodzi się koncepcja „odrodzenia” polskiej sztuki przez „lud i naturę”. Uwagi twórców nie zajmowały przy tym: praca chłopca na roli, jego wysiłek i życie codzienne, ale wieś „święteczna”, oglądana w blaskach słonecznego lata tonąca w kwiatkach, oddająca się zabawie.

Pod koniec XIX w. i na początku XX w. stereotyp ten ożywa w twórczości L. Rydla i W. Tetmajera. Zjawia się w „Chłopach” Reymonta. Przede wszystkim jednak portret chłopca „bajecznie kolorowego” utrwalaony zostaje w „Weselu” Wyspiańskiego. Wszak to na jego kartach przypomniane zostaje marzenie o arkiadyjskiej wsi polskiej:

Niech na całym świecie wojna,
by polska wieś zaciszna,
była polska wieś spokojna.

Bajecznie kolorowy obraz wsi bronowickiej z dramatu Wyspiańskiego jest bez wątpienia kwintesencją konwencji sielankowej w naszej literaturze. Okryty krakowską sukmaną Czepiec — kolejnym wcieleniem staropolskiego „oracza” czy „szczęśliwego” Piasta. Jakie były przyczyny tego renesansu horacjańskiego stereotypu w literaturze młodopolskiej?

Bardzo wyraźnie nasuwa się przyczyna „środowiskowa” związana z koncepcją by-

tu artyści na przełomie wieków XIX i XX. Przyjmując ideał życia artysty w chłopskim stanie trudno było nie akceptować w ogóle stanu chłopskiego, chłopskiej wsi. Była to tylko i wyłącznie konsekwencja przyjętej własnej postawy wobec życia.

Na ożywienie stereotypu oracza w koryszkujące wówczas w kręgach inteligentnej szlachty bez wątpienia wpłynęły poglądy estetyczno-filozoficzne odwołujące się do mistrzów średniowiecznych, którzy zwracali uwagę na układ barw czystych, odtwarzających z natury szczegóły obrazu. Wysoko podnosząc wartość kultury ludowej, podkreślały jej związek z naturą.

Najważniejsza bodaj przyczyna renesansu staropolskiego wizerunku chłopca w kolorowej sukmanie tkwiła jednak gdzie indziej. Związana była z szeroko popularyzowaną przez stańczyków w II połowie XIX w. ideą solidaryzmu klasowego. Hasło „z szlachtą polską polski lud” legło u podstaw programu politycznego grupy konserwatywnych polityków galicyjskich.

WESELE



NAPISAŁ STANISŁAW WYSPIANSKI
WYDANIE TRZECIE NIEZMIENIONE

Powiązali oni go na stałe z wizerunkiem chłopca kolorowego, pięknego, ale i niegroźnego. Nie wzbudzał lęku w dworach szlacheckich, był cenną bronią w walce z tymi, którzy twierdzili, że chłop cierpi nędzę, że pracuje od świtu do nocy za parę groszy, że pije, że głoduje. Obraz chłopca „świętecznego”, w kolorowej sukmanie pozwalał zapomnieć o tej przykłej rzeczywistości. Więcej — rozgrzeszał pana jako administracyjnego zwierzchnika chłopskiej wsi.

Stanowisko więc Wyspiańskiego wobec stereotypu chłopca „kolorowego” wskazuje na to, że w „Weselu” podjął on próbę skompromitowania idei solidaryzmu klasowego, że podjął polemikę z ideologią stańczykowską. Wskazuje poeta na złudę wiejskiej Arkadii, ojczyzny „szczęśliwych” wieśniaków. Kompromituje wizerunek chłopca „kolorowego bajecznie” przede wszystkim przez przywołanie z niedalekiej przeszłości, z 1846 r. wizerunku Szelli — bohatera, który ostatecznie zburzył wyobrażenia o idylli pańsko-chłopskiej na wsi.

opr. EWA STOMAL

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

— dzieciom

Rozmowa
kwiatów



*Na łące, przy rzeczce, niezapominajka płacze,
drobne listki sypie, serce w niej kolacze,*

*Złocisty kaczeniec pochyla się ku niej,
jak stary przyjaciel, i pyta ją czule:*

*— Czemuś smutna, łzawa, panienko w błękitcie?
Jeśli cię ktoś skrzywdził, zapłaci sowicie! —*

*Niezapominajka szlocha, chowa jasne oczy:
— To skowronek mały tak mnie zauroczył...*

*Pięknie opowiadał o błękitnym niebie,
o białych obłokach, o ptakach i śpiewie...*

*Nie mam ptasich skrzydeł, ni skowronka głosu,
nie odmienię nigdy kwiatczyńskiego losu...*

*Nie polecę w niebo, w niebieskiej sukience,
nie zobaczę nigdy prócz łąki nic więcej! —*

*Na to się odzywa fioletowy dzwonek:
— Mościa panno, miła! Czarodziej — skowronek!*

*On buja w obłokach lub śpiewa wśród borów,
szare piórka na nim — zazdrości kolorów!*

*Błękity twej sukni z nieba pożyczone,
kaczeńca ubranie słońcem wyzłocone,*

*fiolet mej czapeczki — z zachodu słoneczka!
Na nic się tu zdały bajki skowroneczka! —*

*Ponad ciemnym borem słońce już zachodzi,
warkocze swe gubi w fioletów powodzi;*

*jeszcze jedno pasmo na łąkę poszło,
jakby swoje kwiaty do snu utulało.*

MAŁGORZATA KAPUŚKA

PORADY PORADY PORADY

Wędkarskie

„Rzucam i rzucam, ani jednego brania. Pora i pogoda niedobra. Pewnie nażarł się o świcie, teraz upał i malutka okoniowa świadomość przyćmiona jest sytością i upalem, niezdolna wyzwoić odruch ciekawości ku sunącemu przez zieloną ciemność wody stworowi.

W zasadzie do żyjątek wodnych zawsze używamy małych haczyków, bo są one delikatne, a ryba chętniej bierze żywą, ruszającą się przynętę, niż martwą, zwisającą bez ruchu. W wodzie więc najczęściej możemy znaleźć klódki (w niektórych regionach kraju zwane „kałabuchami”), kielże brunatne (krokodylki), liczne pijawki, larwy ochotki i larwy jętek. Larwy ochotki znajdziesz w mniejszych zbiornikach w mule i raczej w wodzie stojącej. Larwy jętek natomiast w gliniastym brzegu rzeki.

Wędkarz, a szczególnie dobry wędkarz, jeśli idzie na ryby, na obcą wodę — zawsze bierze ze sobą przeróżne przynęty. Ponieważ ryby są wszystkożerne, szybko przekonują się, a nawet przyzwyczajają do niektórych potraw człowieka. Nakładamy więc haczyk na klódkę, wyszukujemy spokojnie miejsce w nurcie rzeki lub jeziora i nastawiamy grunt tak, aby przynęta leżała na dnie.



Najczęściej stosowane przynęty (tzw. roślinne) to: parzona pszenica, groch gotowany, pęczak i ziemniaki. A oto sposób przygotowania pszenicy (lub pęczaku). Garść pszenicy wysypać do termosu, zalać gorącą wodą.

Smak „mokrego” myślistwa — czyli relaks z wędką

Zresztą, co my wiemy o motywach, kierujących rybami?...” (z książki Jerzego Putramenta „Balet boleni”).

Omawiając w bardzo skróconej formie niektóre zagadnienia wędkarstwa, pragnę zwrócić uwagę na podstawowy błąd większości wędkarzy, którzy niezależnie od pory roku czy dnia, wszystko jedno na jaką rybę polują, mają tylko pudełeczko czerwonych robaczek. My natomiast podejmiemy do zagadnienia inaczej. Najpierw ustalimy, na jaką rybę będziemy rzucać wędkę. Wyjaśniam, że najlepszymi przynętami są zwierzątka żyjące w wodzie. Te żyjątko stanowią podstawowy element pokarmu, każda ryba zna je „od dziecka”. Wśród tych wodnych drobnoustrojów ryba ma swoje smakołyki, tak jak dla dziecka nie jest obojętne, co będzie na obiad — szpinak czy naleśniki. Te zwierzątka wodne są bardzo małe, większość nawet wręcz mikroskopijna, dlatego zastępujemy przynętę naturalną bardzo często przeróżnymi produktami — od chleba począwszy, do „mamalygi” włącznie.

Teraz poszukujemy przynęty, abyśmy mogli zacząć wędkować, a podczas oczekiwania na branie pomówimy dalej na temat przynęty.

Oczekując na branie, które niebawem nastąpi, w dużym skrócie opiszę, jak można przygotować ciasto, które bardzo dobrze trzyma się na haczyku, przy tym jest pachnące, smaczne i nosi oryginalną nazwę: prażucha.

Jednego ziemniaka gotujemy w małej ilości lekko osolonej wody; pięć minut przed ugotowaniem ziemniaka do wody dodajemy 2 łyżki suchej mąki. Parzymy tę mąkę około 5 minut, po czym odcedzamy wodę. Mąkę ugniatamy widelcem (bardzo gorąca) stopniowo dodając część ziemniaków i tylko w takiej ilości, aby otrzymać ciasto. Gdy składniki przestygną ugniatamy ciasto w dłoniach. W końcu będzie ono miało konsystencję gumy. Stosownie do własnych doświadczeń względem upodobań ryb danego akwenu — możemy ciasto barwić na żółto lub czerwono barwnikami spożywczymi; możemy też dodać składniki pachnące, jak czosnek, miód itp.

Zdarza się nie raz, że za żadne skarby nie możemy znaleźć przynęty naturalnej, na przykład, gdy jest za wysoki stan wody. W takich wypadkach musimy sięgnąć do wędkarskiej torby po prażuchę, chleb czy groch. Tutaj podkreślić trzeba, że do grochu i do ciasta należy używać haczyków większych niż do drobnej przynęty naturalnej.

termos szczelnie zamknąć i po trzech godzinach jest gotowa przynęta. Groch natomiast przez całą noc należy moczyć w zimnej wodzie i dopiero na drugi dzień ugotować na wolnym ogniu. Pszenicę bardzo lubią duże płocie, natomiast groch jest dobrą przynętą na brzanę i jelca. Celowo na końcu omówić przynętę najpopularniejszą tzw. czerwone robaki. Dlaczego?

Na pozór są one przynętą bardzo skuteczną, jednak ciągle ich stosowanie powoduje bezmyślny mechaniczny styl wędkowania. Czerwone robaki (szczególnie z kompostu) są dobre na okonia. Inne ryby też dają się oszukać, jesienią na przykład możemy złowić na czerwonego robaka nawet sandacza, pomimo to jednak nie powinniśmy uważać tej przynęty za cudowną lub uniwersalną.

Kilka słów należy powiedzieć o tzw. białych robaczkach. Jest to przynęta bardzo dobra, szczególnie zawodnicy bardzo wysoko ją cenią i najczęściej stosują. My jednak, szczególnie na początku wędkowania, nie będziemy jej używać, ponieważ przez stosowanie różnorodnych przynęt lepiej poznajemy ryby oraz rozwijamy refleks, bo niewątpliwie musimy szybciej i dokładniej zaciąć rybę, mając na haczyku pszenicę, niż białego robaczka, który tak mocno „siedzi” na haczyku, że dobrzy zawodnicy potrafią złowić ponad 20 ryb na jednego takiego „muskularnego” robaka. Powtarzam: nie jestem przeciwnikiem stosowania jakiegokolwiek przynęty, lecz namawiam wszystkich do eksperymentowania i wypróbowania różnorodnych przynęt, ponieważ w danym akwenu nieraz można, o dziwo — tylko jednym rodzajem przynęty skutecznie łowić. Jeśli nie mamy znajomych, którzy znają tę wodę, sami musimy trafić na odpowiednią przynętę.

Wędkarstwo to temat rzeka, stale aktualny. Nasze szczupłe ramy nie pozwalają jednak na szerokie omówienie tematu.

Czytelnikom, których interesuje wędkarstwo sportowe, polecam zapoznanie się z bogatą literaturą fachową. W pobliskiej księgarni względnie bibliotece publicznej znajdziesz bardzo cenną publikację pod wiele obiecującym tytułem „Sztuka wędkowania”, której autorem jest Wolfgang Zeiske. Książka ta pomoże Ci przezwyciężyć trudności, grożące każdemu początkującemu, który nie jest w stanie z mnogości sprzętu, metod i reguł wędkowania wybrać te właśnie, które mu najbardziej pasują.

A o tym, że warto zająć się wędkarstwem — wyjątkowo wielostronną i pociągającą dziedziną sportu, będącą często hobby wielotysięcznych rzesz — świadczą tłumne wycieczki i indywidualne wyjazdy na jeziora, na ryby.

H. Widera



Rozmowy z Czytelnikami

Wielokrotnie omawianą na tym miejscu sprawę kultu obrazów, relikwii, figur i krzyża, porusza w swoim liście pan Adolf K. z kieleckiego.

„Zastanawia mnie i napawa niepokojem, dlaczego w kościołach jest tyle bałwochwalstwa. Mam Biblię Tysiąclecia, kupioną od księży i jak dotąd nigdzie nie spotkałem wersetu polecającego kult obrazów, figur czy krzyży, natomiast wszędzie, zarówno w Starym, jak też w Nowym Testamencie, Bóg apeluje do ludzi, żeby się wystrzegali bałwochwalstwa. Księga Wyjścia (20, 2—5) mówi, że Bóg jest zazdrosny i nie chce dzielić czci z obrazami, które ludzie byli skłonni sobie robić. Skoro Bóg dawniej tak ludzi przed tym przestrzegał, to na pewno nie zmienił się po przyjściu Chrystusa i później za czasów Apostołów. Sam Chrystus powiedział, że nie można służyć u i mamoni (Mat 6,24). Apostołowie nie mieli wizerunków Marii, Jezusa czy innych, bo przed tym wiernych ostrzegali (Dzieje Ap 17,29 i I Jana 5,21). Jeśli chodzi o krzyż, który jest wyłącznym symbolem chrześcijaństwa, to wydaje mi się, że wystawianie go na widok publiczny jest hańbą (Hebr 6,6). Jeśli to możliwe, to proszę o podanie odpowiedzi i przynajmniej jednego wersetu z Pisma świętego, który popiera kult obrazów, a i katolicy nie będą mieli wtedy tyle wątpliwości”.

Przytoczyliśmy pełny tekst listu. Z treści wynika, że pisze go człowiek wątpliwy, a zarazem sumienny czytelnik Biblii. Nie wygląda wprawdzie na katolika, ale nie jest jeszcze chyba fanatycznym przeciwnikiem Tradycji chrześcijańskiej i argumenty z niej zaczerpnięte zrobią na nim wrażenie, a może w zupełności uspokoją jego obawy. Czy nie tak panie Adolfie?

Zacny Przyjacielu. Wierzmy, że przeczytałeś Biblię z należnym szacunkiem i uwagą. Mamy więc obowiązek zaufać ci, jeśli twierdzisz, że nie znalazłeś ani jednego wersetu zachęcającego do oddawania czci figurom, obrazom czy krzyżowi, a bardzo wiele takich tekstów, które wykluczają taki kult. Nie znaczy to jednak, że umiarkowana cześć oddawana rzeczom świętym przez większość

wspólnot chrześcijańskich, między innymi przez Kościół Polskokatolicki, jest sprzeczna z duchem Pisma świętego i grozi bałwochwalstwem, zwłaszcza dziś, w wieku powszechności nauki i kultury. Kiedy Bóg przekazywał prawa narodowi wybranemu, Izraelici żyli w morzu pogaństwa. Świat czcił moce ziemi jako bóstwa i chętnie czynił sobie bogów. Surowy jeszcze i „nieobrzezanych serc” naród żydowski, ciągle zazdrościł pogańskim sąsiadom, że mają widzialnych bogów. Czyż synowie Abrahama, Izaaka i Jakuba nie zmusili brata Mojżeszowego, by uczynił dla nich złoto-cielca (Wyjścia 32, 1—35). Bóg prawdziwy musiał surowo zakazać, by Go nie mieszano z bożkami ręką ludzką uczynionymi. Dziś, Bóg nie musi być zazdrosny o figury i obrazy. Żaden Kościół chrześcijański nie nakazuje wiernym, by oddawali obrazom i figurom cześć boską. Zresztą, niewidzialny Bóg nie da się wyrazić w kamieniu, drewnie czy innym tworzywie. Inna sprawa, gdy chodzi o Jezusa i Świętych, zwłaszcza Matkę Bożą. Jezus, będąc Bogiem i Człowiekiem, miał widzialną postać i można Go przedstawić w rzeźbie lub obrazie. Podobnie Jego Matkę i innych świętych. Zakazy biblijne odnoszą się do tworzenia wyobrażeń materialnych niewyobraźalnego bóstwa.

Szczyci się Pan posiadaniem Biblii Tysiąclecia. W starożytności chrześcijańskiej księgi były na wagę złota. Nadto, do niedawna, tylko niewielki odsetek ludzi umiał czytać i pisać. Co mieli robić ci, których nie było stać na kupno Biblii? Dla nich malowano na ścianach domów modlitwy, sceny biblijne, piękne ikony wieszano nad ołtarzami i krzyżami. To była, dla prostych wiernych, księga święta, z której mogli uczyć się prawd wiary, utrwalając to, co słyszeli w katechezach ustnej.

Siódmy sobór powszechny w Nicei, uznawany przez całe chrześcijaństwo, orzekł w 787 roku, że można czcić krzyże i obrazy świętych na naczyniach, sztach, ścianach, tablicach, w domach i przy drogach. Kult ten przypomina osoby czczone i wierzący wpływ wychowawczy. pobudza bowiem do naśladowania. Cześć oddawana obrazom, figurom nie jest boska, lecz względna, odnosząca się do reprezentacji

wanych osób i tajemnic. Prądy obrazoburcze zostały potępione.

Do kultu krzyża zachęca zmarły około 330 roku pisarz kościelny Laktancjusz. W „wykładzie prawodawstwa Boskiego”, Laktancjusz uczy: „Krzyż wywyższył Chrystusa w sposób jakże oczywisty; wraz z Jego męką uwypatnił całemu światu Jego majestat i moc. Rozciągając bowiem na nim swe ręce, rozpostarł on równocześnie w stronę wschodu i zachodu swe opiekuńcze skrzydła, aby pod nimi zgromadzić w

pokoju wszystkie narody obu części świata. Jak wielkie jest działanie i jak wielka moc znaku krzyża, wskazuje na to wyraźnie okoliczność, że pierzcha przed nim w popłochu cała czereda demonów. Przez imię i znak Męki Chrystusowej bywają wyganiane nieczyste duchy”.

Nie ulega wątpliwości, że wszelka przesada w oddawaniu czci martwym przedmiotom jest niezdrowa i należy jej stawiać tamy.

DUSZPASTERZ

Nasze Wakacje



Jeśli nigdzie nie wyjechałeś, a mieszkasz w Warszawie, na pewno chętnie spacerujesz po Starym Mieście. Na Rynku można usiąść w kawiarence na świeżym powietrzu, posłuchać cygańskiej orkiestry, a także zjeść wspaniałe lody „Ambrozja”.



Za to ci, którzy udali się na odpoczynek na wieś, korzystają z ciepłych słonecznych dni i zbierają pełne bukiety. Piękne to i bardzo pouczające zajęcie. Można się dowiedzieć wielu nieznanych do tej pory nazw kwiatów i ziół, a także rozwinąć w sobie zmysł piękna i estetyki.

rodzina
TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Społeczne Towarzystwo Polskich Katolików, Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. KOLEGIUM REDAKCYJNE PEŁNIĄCE FUNKCJĘ REDAKTORA NACZELNEGO: ks. Edward Balakier, bp Maksymilian Rode, ks. Tomasz Wojtowicz, ks. Wiktor Wysoczyński (przewodniczący Kolegium) ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Marek Ambroży, Henryk Ciok (redaktor techniczny), Małgorzata Kapińska (sekretarz redakcji), Elżbieta Lorenc, Ewa Stomil, Małgorzata Zientarska (korekta).

Adres redakcji i administracji: ul. Kredytowa 4, 00-062 Warszawa. Telefony redakcji: 27-89-42 i 27-03-33; administracji: 27-84-33. Wpłat na prenumeratę nie przyjmujemy. Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: — do dnia 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i cały rok następny; — do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; — do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego; — do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnie 156 zł, półrocznie 312, roczna na 1982 r. — 492 zł. Jednostki gospodarki społecznej, instytucje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Druk PZG Sm. 10. Zam. 302. Z-30.



Pani Kornelia zemdlala, potem dostała spazmów oraz serdecznego płaczu i tego samego dnia odjechała z Głębowicz.

Bodzio natychmiast ożywił się. Wieczorem miał długą rozmowę z ordynatem, na drugi dzień był przedstawiony administracji głębowickiej jako nowy praktykant. Cieszył się ze swej godności, lecz długo targował z ordynatem o pensję, dowodząc, że powinien dostać więcej pieniędzy, choćby dlatego, że... wyrzekł się handytyzmu.

XXI

Uczucia, które Lucia żywiła dla ordynata, nie osłabły przez czas rozstania z nim; raczej się wzmogły. Dziewczyna przebywała w Słodkowcach długie, więzienne godziny utarczek wewnętrznych. Jej młoda dusza grzeźła w wonnym kwieciu marzeń, lecz nie upijała się ich czarem, widząc zawsze na dnie smutną prawdę. Jej tęsknota za szczęściem szła przez moczary, dążąc do pochwycenia błędnego ogniska chwilowej utopii. I marła pod siłą rzeczywistości, co niby wstający dzień, zabijała uludny ognik wątpliwej nadziei.

Lucia troskliwie pielęgnowała dziadka, uczyła dzieci w szkole z zapalem, ale często bezmierną odczuwała w przykry sposób. Bywały dni, w których tylko ogromną siłą woli zmuszała się do codziennych swych zajęć. Do szkoły wówczas nie chodziła. Potrafiła przeżyć kilka godzin wciśnięta w kąć szerokiej otomany, z głową spoczywającą na dłoni.

Pan Maciej widział to, rozumiał i bolał skrycie, ale milczał.

A w duszy biednej Luci myśli, uczucia łamały się w gniotące złomy; rozpylały w proch lub znowu, pobudzone jakimś wrażeniem, skupiały się i rosły w przepiętny zew, gorejący żywym ogniem umiłowania, spotęgowanego egzaltacją.

Częste przyjazdy Waldemara były dla niej zawsze nowym pokładem w nawale wrażeń, złym lub dobrym. Gdy on przemawiał do niej spokojnie, gdy sercem odczuwała w nim łagodność dla siebie, Lucia płynęła na miękkiach obłokach, otoczona ciszą cudowną. Dokoła widziała jasność — i siała jasność. Gdy Waldemar był szorstki, chmurny, Lucia od razu wpadała w krańcową tragedię, zda się bez wyjścia. Jakiś obłęd brał mózg jej w posiadanie. Traciła wiarę we wszystko, co święte dla niej było zawsze; nie cierpiała ludzi i chlostała ich swą pogardą. Gdy Waldemar był roztargniony, niespokojny, Lucia miała wrażenie, że biegnie w borze gęstym, oślepla z trwogi i nie wie, czy oślepia ją blask słońca brutalnie palący, czy straszna ciemność nieprzebitej wzrokiem nocy. Uderzała się o pnie drzew, szukając czegoś, co ją straszyle i ciągnęło zarazem.

Była jakby igłą magnesową, kierującą swój cień śladem błysków oczu Waldemara. Jej niechęć do matki wzrosła, czuła się w ogóle skłoną do nlenawości.

Umiała trzymać na wodzy swe nieprzychylnie uczucia, ale czasem wybuchały bezwzględnie. Czasem nawet chwilowym przedmiotem ich bywał Waldemar. Zaciśkała wtedy zęby, gdy on ją całował na pożegnanie lub witając. Gdy przyjeź-

dzał, nie wychodziła do niego. Kaprysy te bolały ją potem, bolały nawet w czasie trwania, i pomimo to nie niweczyła ich. Brakło jej sił.

Bohdana Michorowskiego przywitała jak intruza niechętnie od pierwszego spotkania. Drażniło ją niewymownie zajęcie się nim Waldemara, i nie ukrywała go, gdy ją Waldemar pytał o zdanie co do Bohdana, odrzekła krótko:

— To człowiek bez wartości.

Ordynat był innego zdania.

— Mylisz się, Luciu! — odrzekł sucho.

Więcej o Bohdanie nigdy nie rozmawiali.

Bodzio nie robił sobie nic z niechęci kuzynki, jakkolwiek niechęć tę odczuwał.

Do Słodkowic jeździł rzadko, bo i pan Maciej patrzył na niego krzywo.

Bodzio nazwał Słodkowce zakonem trapistów, ale Lucię bardzo lubił, tylko się jej zawsze sprzeciwiał, robiąc z siebie przy niej umyślnie monstrum. Prędko odkrył tajne uczucia jej dla Waldemara i zrozumiał, że nie mają wzajemności. Chcąc ją z tego wyratować, opowiadał niestworzone bajki o swej miłości beznadziejnej do jakiejś Ludgardy, księżniczki czeskiej, która go nie kocha, a za którą on szaleje.

— I widzi kuzynka: pomimo to jestem wesół i żyję. Coż mam robić? Trudno kogoś zmuszać do kochania. A gdzieś ambicja? Ja będę marzył o ukochanej, ukochana zaś gwizdzie na mnie. To dobre sobie! Najlepiej w takich razach mówić: „pal cię licho”; to przynosi ulgę.

Lucia zrozumiała, do czego Bodzio zmierza, i to ją gnębiło.

Bohdan dobrowolnie przyjął rolę pośrednika pomiędzy Lucią i ordynatem. Ją chciał wyleczyć z nieszczęśliwej miłości, Waldemarowi znów wmawiał stale wielkie zalety Luci, opiewał jej dobroć i urodę. I cieszył się myślą naiwną, że z czasem tę parę skojarzy. Odkrył raz swe zamiary panu Maciejowi, lecz zle trafił; dostał ostrą odprawę.

Pan Maciej, przerażony odkryciem Bohdana, zabronił mu stanowczo mieszania się do obojętnych uczuć Waldemara i Luci.

— Dlaczego?... Skoro byliby ze sobą szczęśliwi, to czy nie należy im pomóc? — oburzył się Bodzio.

Pan Maciej przeżuwał starczymi szczękami, chcąc się uspokoić. Zamiary Bohdana były jego najtajniejszym życzeniem. Pragnął z duszy całej, aby Waldemar pokochał Lucię i wziął ją za żonę. Lecz starzec nie śmiał nawet o tym myśleć. Odważne projekty Bodzia zaskoczyły starca niespodziewanie. Nie wiedział, co odpowiedzieć na słuszną uwagę chłopca. Rzekł tylko:

— Oni się pobrać nie mogą, bo wszak są blisko spokrewnieni.

— Ee! to nie może być powodem! A papież od czego?! Ordynat powiedziałby, że z inną się nie ożeni, że ordynacja wobec tego upadnie, i... zrobione! — zawołał Bodzio, zadowolony ze swej polityki.

Takie postawienie kwestii przypadło do gustu staremu Michorowskiemu. Milczał, ale ciągle snuł swe ciche marzenia i zdwoił haczość względem rywca:

Bohdan nie poruszał już tej sprawy wobec pana Macieja, ograniczał się na delikatnym podsuwaniu jej Waldemarowi. Lecz wkrótce i tu zbankrutował; pewnego bowiem dnia, po powrocie ze Słodkowic, zaczął Bodzio po swojemu uholewać nad samotnością Waldemara, potem przeskoczył na zachwyty nad Lucią i w końcu zniecierpliwiony obojętnością ordynata, rzekł porywcza:

— Bo wuj to chyba jest ślepy?! Czyż można nie zauważyć, że ta biedna Lucia kocha się w wuju jak szalona! To nawet wstyd... nie no, męszku!

— Proszę cię, abyś swoje uwagi zachował dla siebie — rzekł Waldemar bezwzględnie.

Byli w gabinecie ordynata. Bohdan chodził po pokoju, ordynat siedział przy biurku.

Młodzieniec umilkł zawstydzony, lecz nagle spojrzawszy na Waldemara, dostrzegł, że ten ma utkwiony wzrok w portrecie zmarłej narzeczonej, wisiącym naprzeciw jego fotela.

Bodzio nigdy się nie namyślał, więc i teraz podszedł gwałtownie do Waldemara i zawołał z niesłychaną brawurą, wskazując na portret:



Wiktor Rysio (woj. konińskie) — Przy konfesjonale

Jan Madej Dziwin (woj. krakowskie) — Pieta



Polska rzeźba ludowa o tematyce religijnej